№ 10. Warszawa, dnia 21 Lutego (4 Marca) 1876 roku.

TYGODNIK MÓD
I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

ZATRUTE ŻYCIE.

Ja z chłopięcych moich lat,
Pomnę taki cudny świat,
Żebym chciał tę złotą nić,
Wprząść do tkanki wspomnień mych,
O przeszłości ciągle śnić,
I zapomnieć ludzi złych,
Którzy w tę krainę złud,
Odczarowań wnieśli chłód.

Od złowieszczych życia burz,
Z których czarny płynie mrok,
Matka, niby Anioł Stróż,
Chroniła każdy mój krok;
A gdym wzrósł w potęgę sił,
Dziewczę, złudę nikłych mar,
Tej przyszłości którąm śnił,
Zamieniła w szczęścia czar,

I te jasne gwiazdy dwie:
Żon ideał, matek wzór,
Rozlały promienie swe,
W wytkniętego życia tór;
A gdym myślą sięgnął w dal,
Mnie przerażał szczęścia blask:
Jam drżał by wśród groźnych fal,
Nie znikło to źródło łask...

Lecz noc przyszła, urok prysł,
Zćmił się ciemnią życia wdzięk:
Jam u dołu grobów zwisł
Złamany nadmiarem męk;

I niebaczny miasto wpleść
W los dziecięcia złotą nić,
Jam gmach nowy pragnął wznieść
I o nowem szczęściu śnić.

Próżne trudy! Zwarty grób
Rodzi tylko wspomnień rój,
I ów spokój co wśród prób
Życia, daje pracy znój...
Więc kiedym w rozkoszny czar,
Pragnął prochów zmienić pył,
Prysłułudny pryzmat mar,
A czerw' się w mą istność wpił!

Są istoty z ciała, krwi,
Wabne niby wonny kwiat,
Co ponętą krasy lśni,
A w kielichu kryje jad...
O jeźli wśród marzeń złud,
Znajdziesz w młodem sercu kał,
I na białej szacie brud,
I w tajnikach duszy szał.

Pochyl czoło — żywot twój
Jest jako pogrzebna pieśń:
Bracią twą robactwa rój,
Nadzieją — mogilna pleśń...
Lecz tyś nie padł — święty blask
Lśni na krańcu twoich dróg:
Tam wysoko w światłość łask,
Opromieni skroń twą Bóg!

Ludwik Niemojowski.

PANI LUIZA.

(Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA)

NOWELLA

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Rozmowa w podobnym tonie prowadzona, trwała już więcej jak kwadrans, a ja ani spostrzegłem iż bytność moja u p. Luizy przeciąga się dłużej niż mi na to czas a może i względy etykiety światowej pozwalały. Wśród pełnych treści lecz suchych zajęć mojego zawodu, rzadko bardzo miałem sposobność spotykać się z tak pięknemi przedmiotami sztuki, jak te które ukazywała mi teraz p. Luiza i przysłuchiwać się podobnym rozmowom, jak ta, którą prowadziła ona z młodym księciem. Ozwały się we mnie zgłuszone poniekąd zachodami powszedniego życia instynkty i gusta człowieka cywilizowanego. Przerzucane z kolei przez p. Luizę albumy i illustrowane stronnice, a bardziej może uwagi które czyniła ona nad niemi zajęły mnie żywo. Przyznałem w myśli, iż nowa klijentka moja, raz znalazłszy się we właściwej sobie sferze, była niezmiernie przyjemną gospodynią domu, kobietą pełną ujmującego wdzięku i porywającej żywości słowa i uczuć. W chwili właśnie gdy ostatnia uwaga ta przesunęła mi się przez głowę, p. Luiza zamknęła księgę, której przepatrywanie wspólnie z nami skończyła, a ja podnosząc głowę mimowolnie rzuciłem spojrzenie w przeciwną stronę saloniku. Mógłbym śmiało powiedzieć, że przy spojrzeniu tem wzrok mój spadł nagle z niebieskich wysokości pomiędzy najniższe sfery ziemskie. Przy jednem z krzeseł pod ścianą umieszczonych, ujrzałem stojącą pannę Zuzannę. Niby w cia-

sny futerał opięta w wązką swą czarną sukienkę, pokorna kobiecina stała w postawie naprzód nieco pochylonej, z małemi rączkami swemi splecionemi jak zwykle poniżej piersi, ze zwykłym swym słodziutkim uśmiechem wśród małej, pomarszczonej twarzyczki. Mimowoli pomyślałem że postać ta kobieca, którą wewnętrzne usposobienia i cały sposób życia przyoblekły piętnem najtrywialniejszych, najnikczemniejszych może cech, jakie odznaczać mogą poniżoną i poniżającą się istotę ludzką, szczególną bardzo stanowiła illustracyą tak wysoce artystycznego salonu p. Luizy. Jakież jednak było zdziwienie moje gdy ujrzałem iż p. Zuzanna, oczami i całą nieledwie postacią swą wykonywała, ku mnie wyraźnie zwrócone a dziwne jakieś znaki telegraficzne. Patrzała w twarz moją jak w tęczę, przyczem podnosiła rudawe brwi swe, mrugała żółtemi powiekami i nie rozplatając dłoni jak do pacierza złożonych, wskazującym przecież palcem, z czarnej dziurawej rękawiczki wyglądającym, wyraźnie mi drzwi ukazywała. Pojąć nie mogłem czego mianowicie żądała ode mnie ta miejska kumoszka. Gdy jednak znaki telegraficzne które mi przesyłała nie tylko nie ustawały, ale wzmagały się z każdą chwilą w sposób coraz natarczywszy i nieznośniejszy, zacząłem przypuszczać że uboga kobiecina ma może do mnie osobisty jakiś a ważny dla niej interes, a znakami temi prosi mię abym wyszedł co prędzej i ją wysłuchał. Ponieważ zresztą i tak już bawiłem u p. Luizy może dłużej niż wypadało, powstałem i wziąwszy kapelusz chciałem jeszcze przed odejściem powiedzieć słów kilka względem powierzanych mi spraw majątkowych.

Zaledwie jednak wymówiłem parę wyrazów p. Luiza przerwała mi błagalnym niemal gestem ślicznej swej ręki. Przytem spojrzenie jej zmieszane i niespokojne pobiegło po twarzy księcia Jasia. Zrozumiałem że mówienie w tej chwili o interesach i pieniądzach, sprawiłoby jej przykrość niewymowną. Rozmowy podobne nękały i mieszały ją zawsze, ale gdy cichy i marzący Antinous ten obok niej się znajdował, atmosfera którą oddychali oboje pozostać musiała nieskazitelnie idealną, inaczej p. Luiza spłonęłaby chyba od wstydu albo zalałaby się łzami nieprzezwyciężonej żałości. Poprosiłem więc tylko aby mi nazajutrz udzieliła swojej audyencyi, gdyż z tem co wiedziałem dotąd, ani domyślić się nie mogłem czego mianowicie żądała ode mnie i od czego zaczynać miałem powierzane mi dzieło regulowania jej interesów.

— O! zawołała, podając mi obie ręce, chciej pan przychodzić do mnie jak najczęściej, nietylko jako prawnik ale jako gość i dobry znajomy. Tu, na o kropnej pustyni tej, spotkanie kogoś z kim rozmawiać można jest prawdziwie dobrą szansą, której wierzaj mi pan, nie wyrzekłabym się z łatwością!

Jeżeli powitanie p. Luizy było grzecznem i pełnem uprzejmego wdzięku, sposób w jaki mię pożegnała nazwać się już mógł śmiało serdecznym i przyjacielskim. Czułem że blizka znajomość moja z książętami X. zbliżyła mię też znakomicie do mej nowej klijentki a wprawa jaką posiadałem w mówieniu po francuzku, utworzyła pomiędzy nią a mną rodzaj moralnego braterstwa. Tak dalece prawdą jest to w co zawsze wierzyłem, że najbliższemi ze sobą powinowatymi są ci, dla których najdroższe duchowi ludzkiemu pojęcia: prawdy, cnoty, miłości, wolności, nauki, w jednostajne przyoblekają się brzmienia.

Opuszczałem mieszkanie pani Luizy ze szczególnem jakiemś zmieszaniem ciekawości i sympatycznego politowania, które to uczucia, sam jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, dla czego obudziła we mnie nowa klijentka moja, gdy tuż przed wschodami spotkałem się oko w oko z panną Zuzanną. Mała kobiecina opuszczała jednocześnie ze mną mieszkanie swej dobrodziejki i tylko wychodziła zeń drzwiami innemi, przez ukryte dla innych gości pokoje i kuchnią prowadzącemi. Ujrzawszy ją zatrzymałem się acz z lekką niechęcią.

— Zdaje mi się, rzekłem, że pani życzyłaś sobie mówić ze mną. Czy masz pani do mnie jaki interes?

— Uchowaj Boże, dygając i uśmiechając się odrzekła kobiecina, żadnego interesiku nie mam, chwała Bogu najwyższemu! żadnego interesiku! Zkądżebym ja znowu biedna kobieta interesy jakie do pana adwokata mieć mogła? Niech pan adwokat będzie łaskaw nie zatrzymuje się dla mnie, ja z panem adwokatem podejść mogę kawałeczek dróżki!

Zapowiedziane mi towarzystwo to niezbyt mię ucieszyło. Chciałem jednak dowiedzieć się znaczenia owych dawanych mi w salonie telegraficznych znaków.

— Dla czegóż więc pani mrugałaś na mnie i drzwi mi wskazywałaś? zapytałem, wpół śmiejąc się, wpół z niecierpliwością, którą wzbudzały we mnie drepcące tuż obok mnie drobne kroczki kumoszki.

— Ja to zaraz p. adwokatowi dobrodziejowi wytłomaczę, zniżając głos i przybierając tajemniczą minę, szeptała p. Zuzanna. Niech pan adwokat nie gniewa się na mnie za to, że ja, niemądra kobiecina ośmielę się panu dać radę. Ale pan nie zna jeszcze naszej kochanej pani hrabiny...

— Powiedz mi pani naprzód, przerwałem, dla czego panią Wielogrońską tytułujesz hrabiną? O ile wiem ani Żmurscy ani Wielogrońscy nigdy hrabiami nie byli.

Pomimo że nie patrzałem na nią, widziałem jak małe oczki panny Zuzanny przemknęły po mojej twarzy i złośliwie błysnęły. W mgnieniu oka jednak wzniosła je ona w górę a splecione rączki swe także do wysokości twarzy swej podnosząc, zawołała:

— O, panie mój! jabym anioła tego nietylko hrabiną ale królową i cesarzową nazywała! Święta to pani! Aniołek niebieski! opatrzność wszystkich biednych i pociechy potrzebujących!

— No dobrze już, dobrze! przerwałem, ale dla czego pani mrugałaś na mnie?

Babina znowu nastroiła się tajemniczo.

— Widzi pan adwokat, szepnęła, ten śliczny książę Janiunio, daj jemu Stwórco Wszechmogący zdroweczko i najdłuższe latka...

— No, ale cóż tedy książę Janiunio...

— Oto to widzi pan dobrodziej, że jak książę przychodzi z wizytą, nasza pani hrabina bardzo nielubi aby kto więcej u niej był... Ja to już tam jestem jakby domowa ale wychodzę, zaraz wychodzę jak tylko książę przychodzi, bo nasza hrabina nie chce wtedy mieć nikogo, broń Boże nikogo, ani z domowych, ani z gości...

Z oburzeniem spojrzałem na obłudnicę.

— Co pani wygadujesz? rzekłem ostro, czy pani nie wstyd...

Przerwała mi gestem pełnym przerażenia.

— Wstyd! zawołała, a czegóż to proszę pana adwokata dobrodzieja, wstydziłbym się miała? Czy to ja tego anioła świętego nie kocham, jakby, nie przymierzając, samego Pana Boga. Daj Boże ażeby wszyscy tak ją kochali i uwielbiali jak ja! W ogień piekielny wskoczyłabym za nią! Ale co wiem to wiem, i panu adwokatowi powiedzieć muszę, bo nie trzeba uchowaj Panie Boże, gorzej jeszcze męczyć tej nieboraczki i jedyną tę jej pociechę odbierać...

— Nie rozumiem, i proszę panią... zacząłem.

Ale stara nie pozwoliła sobie przerwać. Pomimo, że naumyślnie szedłem bardzo prędko, dreptała ona obok mnie drobnemi kroczkami swemi niezmordowanie i wyprzedzając mię nawet nieco w twarz mi zaglądała.

— A tak, tak, mówiła dalej, ledwie mogąc od szybkiego biegu i mówienia oddech pochwycić. Tak, tak! nieboraczka ona, sama jedniutka jak palec... bez familji, bez opieki, niby ta dziecina biednieńka na szeroki świat rzucona... nie dziwota że serduszko odezwało się i że biedaczka przywiązała się do tego ślicznego książątka, daj jemu panie Boże wszystko dobre... Dziecko to po prawdzie w porównaniu z nią... synem jej może mógłby być, ale pan dobrodziej sam pewno wie... serce nie sługa, nie zna co to pany...

Ostatnie wyrazy stara wymówiła nawpół z patetycznym akcentem, nawpół z uśmiechem, który roztwierając żółte jej wargi ukazał z za nich parę czarnych, kołyszących się zębów. Widząc że nie pozbędę się jej inaczej, przywołałem gestem stojącą opodal nieco dorożkę. W tejże samej prawie chwili szybko mijała nas chodnikiem kobieta, którą też wspólnie z całem miastem znałem i często widywałem, koleżanka panny Zuzanny, co do głównych usposobień i całego sposobu życia tem tylko różniąca się od niej, że gdy panna Zuzanna wyglądała na malutką kobiecinę, panią Kuniewiczowę nie podóbna było nazwać inaczej jak *damą*. Wysoka była i bardzo zgrabna, chód i ruchy miała nadzwyczaj poważne i dystyngowane, niezmiernie wiele szlachetnej dumy w spojrzeniu i ukłonie. Ubierała się w ozdobne ogoniaste suknie, a nie rzadko i w aksamitne palto-ty. Na siwiejących włosach nosiła kapelusze lub czepeczki z kolorowemi wstążkami. Zarówno jak panna Zuzanna *dama* ta trudniła się wyrabianiem różnych robótek ręcznych, za które, bez względu na okazałość postaci jej, kosztowność stroju i dumną wyniosłość oblicza, naiwne a litościwe duszyczki miasto nasze zamieszkujące płaciły dziesięć razy wyżej nad istotną wartość. Oprócz siatek i kołnierzyków pani Kuniewiczowa wyrabiała jeszcze sztuczne kwiaty i inne różne ornamenty, któremi przyozdabiała miejscowe świątynie, co stawiało ją bardzo wysoko we względach arystokratyczno-klerykalnego stronnictwa w mieście naszem istniejącego, i jak mi się zdaje, przynosiło bez porównania więcej korzyści jej samej, niż chwały — Panu Bogu. Powolnym jak zwykle krokiem i z dumnie smutną twarzą przechodząc koło nas pani Kuniewiczowa, spostrzegła plączącą się koło mnie pannę Zuzannę i pozdrowiła koleżankę wyniosłem skinieniem głowy.

— Byłaś dziś pani u hrabiny? zapytała.

— Byłam, byłam, ale nie pójdę już aż chyba wieczorem... i pani nie idź tam także...

— A to dla czego?

— Książę jest dziś tam na obiedzie... zabawi do szóstej... tajemniczo szepnęła kobiecina.

Dama skinęła głową w znak zrozumienia.

— To co innego, rzekła, muszę nawet wrócić i powiedzieć Męcickiej żeby nie szła także, bo wiem że się wybierała.

Nie zaręczam za prawdziwość faktu tego, ale tak mi się zdawało przynajmniej, że mimowoli słuchając rozmowy tej dwóch kobiet, zarumieniłem się ze wstydu. Wstydziłem się może za rodzaj ludzki. Co pewno to, że oprócz wstydu tego, uczułem żal nad panią Luizą, którą jak to spostrzegać zaczynałem, szarpały nielitościwie te właśnie języki, które znajdując się przy niej, najdonośniej chwałę jej wyśpiewywały. Zmierzałem co prędzej do nadjeżdżającej dorożki. Miałem już siadać gdy p. Zuzanna dogoniła mię jeszcze i pochwyciła za rękaw od paltota.

— Panie dobrodzieju kochany! szeptała, nie zapominaj tylko zlituj się o przestrodze mojej... jak książę Janiunio tam jest, nikt więcej być nie powinien... Trzeba ją biedaczkę szanować.

Zniecierpliwiła mię już ostatecznie. Uwolniłem ubranie moje od uścisku jej małej, suchej, ale dziwnie silnej i żylastej ręki i niepamiętam już jaką, ale

wcale niegrzeczną dawszy jej odprawę, odjechałem. Na zakręcie ulicy zobaczyłem, że panna Zuzanna stała na miejscu na którem ją zostawiłem i uporczywie spoglądała za mną. Byłem pewny, że uczyniłem z niej sobie śmiertelnego wroga i na myśl tę zaśmiałem się szczerze.

Nazajutrz około południa otrzymałem znowu list od p. Luizy. Tym razem, pisała po francuzku. Bardzo nagląco prosiła abym przyszedł do niej dziś jeszcze, jak najprędzej, natychmiast, ponieważ zaszedł wypadek, który przestraszył ją i zakłopotał ogromnie. Nie pisała wcale jakiej natury był wypadek ten ale ze słów jej wnosić mogłem, że było to coś bardzo dla niej niemiłego i groźnego. Przy końcu listu prosiła mnie abym określić chciał cyfrę wynagrodzenia pieniężnego, którego żądać będę za zajmowanie się interesami. Wzmiankę tę otoczyła tylu wstępami, przeprosinami i różnemi stylowemi floresami, iż wnosząc ze wszystkich tych nieśmiałości, ostrożności i drażliwości myślećby można, że p. Luiza proponować mi ma popełnienie wielkiej jakiejś zbrodni, co najmniej czynu grubijańskiego o którym pisać nawet bardzo jest trudno ale co mówić ustnie to już w żaden sposób nie podobna, bez wstydu i nieprzyzwoitości. To też p. Luiza długą i krętą przemowę swą kończyła następnemi słowami: „Chciej pan na listowne zapytanie moje odpowiedzieć też listownie. Kwestye podobne załatwiają się daleko lepiej za pomocą korespondencyi niż ustnej rozmowy.“

Po załatwieniu spraw najpilniejszych, poszedłem do nowej klijentki mojej, tak bardzo dnia tego, jak widać było z listu, przerażonej i zmartwionej. Kiedy przechodziłem dwa wielkie salony, trzeci mniejszy salonik poprzedzające, do uszu moich zaczął dolatywać bardzo donośny głosik kobiecy, jednostajnym piskliwym tonem i z nadzwyczajną szybkością a wymownością, wypowiadający co następuje.

— Zamordowali go, jak mego ojca kocham, zamordowali go i zabili, pani hrabino! Byłam sama na sądach i wszystko słyszałam i rozbójników tych na własne moje żywe oczy widziałam. Biedny człowieczyna jechał sobie wózkiem i jednym koniem przez las. Noc ciemna, choć oko wykol! Las gęsty! wicher dmie i szumi! Wtem, odezwał się w powietrzu jakiś gwizd okropny! Z za drzew wypada trzech ludzi.!.

Tu usłyszałem słabiuchny wykrzyk trwogi w którym poznałem głos p. Luizy. Piskliwy zaś głosik opowiadającej, podniósł się jeszcze o jedną nutę wyżej i ze zdwojonym zapałem opowiadał dalej.

— Widziałam ich wszystkich trzech na moje żywe oczy, którzy siedzieli na ławie, za kratkami! Chłopy wielkie jak dęby, z rozczochranemi włosami i z twarzami osmalonemi! A oczy, to jak pani hrabina mię tu żywą widzi, świecą się u nich tak jak głownie, zupełnie jak głownie! Aż mi gorąco robiło się w plecy od tych oczów! Wypadli z za drzew, zatrzymali konia, zwlekli nieboraka z woza i zamordowali! Ale co oni dokazywali z nim pani hrabino, to aż strach opowiadać!! Wykłuli mu oczy, powyrywali włosy, połamali ręce...

Tu wejście moje przerwało mówiącej którą była pani Międcicka, kobieta krępa, silna, ogorzała, dość młoda jeszcze, w całem mieście znana pod nazwą *prawnika w spódnicy*. Wdowa po urzędniku nizkiego stopnia, który umierając żadnego wcale funduszu nie zostawił, krzątała się ona ciągle około załatwiania różnych drobniutkich, a niekoniecznie czystych sprawek i interesików mieszczańskich lub mało szlacheckich. Załatwianie to dokonywało się naturalnie nie inaczej, jak za pomocą biegania do urzędników i adwokatów, proszenia, jęczenia, dowiadywania się, szperania, podsłuchiwania i szpiegowania. Zawsze jednak było wiele ludzi, którzy wierzyli sprytowi i zwinności tego pokątnego doradzcy żeńskiego rodzaju i o pomoc ją w swych sprawkach prosili. Uczęszczała też ona na sądy wszelakie z wytrwałością niczem niezrażoną i teraz właśnie zabawiała p. Luizę sprawozdaniem z jakiegoś posiedzenia sądowego, przy którem była obecną.

(d. c. n.)

Korespondencya zagraniczna ze Wschodu.

Aleksandrya.

Ta wieczna kwestya wschodnia i u nas wszystkie zajmuje umysły; gdzie się obrócisz usłyszysz rozprawiających o ważnym dramacie odgrywającym się nad Bosforem. Co się stanie z głową islamu jeźli będzie zmuszony opuścić Konstantynopol?... prawdopodobnie przeniesie się do Kairu. Lecz co będzie dalej?.. Czy poprzestanie na roli japońskiego mikado lub też czy zechce wydalić tajkuna?... Wszystko przewidywać, wszystkiego spodziewać się należy. Po raz to może pierwszy apatyczni mieszkańcy Egiptu zaczynają zajmować się kwestyą polityczną i jej następstwami.

I nie dziw, bo nigdy może Turcya i sułtan nie był w tak rozpaczliwem jak obecnie położeniu; opuszczona od wszystkich niemal sprzymierzeńców, własnym pozostawiona siłom, Turcya jest dziś niemal w położeniu Jerycho, w dniu, gdy odezwały się w niem trąby Izraela.

Chrześcijanie tutejsi stokroć większą tchną nienawiścią przeciw swoim bejom, którzy choć dziś muzułmanie równie jak oni są Słowianami, niż przeciw Turkom w Konstantynopolu. Dzierżawią oni posiadane grunta i na pozór położenie ich wydawałoby się znośnem; lecz obok ciężarów feodalnych, nieszczęśliwie zaprowadzona przez sułtana Mahmuda centralizacya, obciążyła ich dziesięciną i podatkiem osobistym, które ich panowie i władzcy jak zwykle w Turcyi, im wyłącznie narzucili, tak że biedacy wysysani ze wszech stron, w największą popadli nędzę.

Nie sądźcie jednak żeby biedaki muzułmanie ściągani ze wszystkich prowincyi państwa przeciw powstańcom, o wiele lepszą cieszyli się dolą. Nierówny rozkład ciężarów jest główną plagą państwa otomańskiego. Szczególniej obowiązek służby wojskowej, dotyka głównie biedną ludność muzułmańską. Wielu z takich muzułmanów jest narodowości greckiej i greckim tylko mówi językiem; dla uniknienia zaciągów zdarza się nieraz że całemi wsiami emigrują do Syru, tam przyjmują wiarę chrześcijańską i stale się osiedlają.

Większość beyów Hercogowiny, Bośni, Albanji i Kandji, stanowiących oddzielną klasę właścicieli zwanych „lino-bambaki“ (dosłownie nić i bawełna) na pozór i jawnie są mahometanami, a w gruncie przy drzwiach zamkniętych, chrześcijanami. Ci pseudo-mahometanie sławiańskiego pochodzenia tak pod względem fizycznym jak moralnym, są ozdobą swej rasy. Odważni i uczciwi tak między sobą jak w stosunkach z cudzoziemcami, zaślubiają jedną tylko żonę i zachowują troskliwie swe rodowe nazwiska—lecz w stosunkach ze swemi dzierżawcami rządzą się przestarzałemi przesądami feodalnemi przez co wystawiają ich na jak największe przykrości i upokorzenia. W gruncie rzeczy beyowie sławiańscy gorzej jeszcze niż chrześcijanie znienawidzili panowanie tureckie, i gdyby Porta zniosła nareszcie krzyczące nadużycia dzielące dzisiejszych panów od ich wazali, postąpiłaby wbrew własnemu interesowi, gdyż oligarchia administracyjna Konstantynopolitańska, nie jest tak urządzona aby ją można unarodowić. Jest to tymczasowość mogąca potrwać czas jakiś, ale którą Arab muzułmanin z Syryi, Kurd muzułmanin z Anatolji, znoszą równie niechętnie jak i prawowierny Grek z Macedonji, lub katolik Słowianin z Bośnii i Albanji. Tak więc tymczasowość ta nigdy nie stanie się stanowczą, państwo Osmanlisów się rozpadnie, gdyż już w *konstytucyi* jego wytworzonej przez Mahometa II-go leży zaród śmiertelności.

Niepodobna zaprzeczyć że tak przez swe przymioty jak i wady, monarcha ten był jedną z najwybitniejszych postaci piętnastego stulecia. Urzeczywistniał on stokroć lepiej niż Cezar Borgia, ideał monarchy wymarzony przez Machiawella, ale równie jak autorowi *Il principo* brakowało mu najważniejszej rzeczy — poczucia moralnego, którego nigdy nie pojmował Islam czczący tylko powodzenie. System polityczny zaprowadzony przez Mahometa II jest arcydziełem machiawelizmu, lecz na nieszczęście jak wszystkie polityczne zasady Machiawela, pozostaje w największej sprzeczności z najelementarniejszemi zasadami ekonomji politycznej, i dla tego musi doprowadzić do ruiny.

Państwo otomańskie utworzyło się i utrzymywało dotąd przebiegłością i zręcznością swych dyplomatów, ale tym tylko sposobem iż dla teraźniejszości poświęcali przyszłość. Zachód ofiarował poparcie cesarstwu byzantyńskiemu, kładąc jednak za warunek zjednoczenie obu kościołów; Konstantyn Drakores (Paleologos) zgodził się na to, ale patryarcha wolał połączyć się z sułtanem, zapewniającym mu nie tylko utrzymanie ale rozszerzenie jego władzy. W skutku tego Grecy opuścili swego cesarza, który poległ w szeregach Genueńczyków, walcząc przeciw Turkom.

Powołany do władzy przez duchowieństwo greckie, Mahomet II nie chcąc go drażnić najmniejszej nie dawał przewagi swoim poddanym muzułmańskim, i wyjąwszy obowiązków religijnych i sądowniczych, które Islamizm z sobą jednoczy, uznał mahometan równie niezdolnych jak i chrześcijanie do spełniania powinności wojskowych i administracyjnych, które powierzał wyłącznie własnym swoim niewolnikom. Dalej, chcąc przeszkodzić aby z własnej jego rodziny nie wytworzyła się arystokracya muzułmańska ustanowił obowiązujące prawo państwowe, nakazujące pozbawiać życia wszystkie dzieci płci męzkiej należące do rodziny cesarskiej, z wyjątkiem jedynie potomków panującego sułtana—a nadto zrzekł się prawa wybierania sułtanek tak z pośród poddanek swoich muzułmańskich jak i innych wyznań.

Tym to sposobem wyrodził się w Turcyi stan społeczny, będący najzupełniejszem zaprzeczeniem narodowości rodziny i własności. Każdy żołnierz, każdy urzędnik turecki, równie jak każda odaliska kupowani byli na targu z pomiędzy jeńców pojmanych na wojnie lub dostawianych przez barbarzyńskich korsarzy. Choćby niewolnicy ci najwyższych dostąpili godności, spadek po nich z prawa dostawał się sułtanowi, a dzieci nie odziedziczały ani stanowiska ani majątku, zaliczały się wprost do wyznawców Islamizmu, którzy daleko mniejszych używali przywilei niż Grecy, którzy mieli monopol pewnych bardzo zaszczytnych i zyskownych urzędów, jak hospodaraty i wysokie stanowiska dyplomatyczne, kiedy muzułmanie musieli poprzestawać na obowiązkach przy meczetach.

Organizacya ta zapewniała sułtanowi wojsko regularne, składające się wyłącznie z renegatów pochodzących z najczystszej krwi europejskiej, ale znowu ze stanowiska administracyjnego, niewolnicy ci, wiedząc że dla nich wszystko kończy się z życiem

nie mieli żadnego interesu w popieraniu pracy i przemysłu narodowego. I ztąd to powstały owe dziwaczne taryfy *ultra - wolno zamienne*, które dotąd nie straciły jeszcze swej mocy obowiązującej, nakładające podatek od towarów wywozowych 12%, zaś od przywozowych tylko 5%. W następstwie takiej taryfy, świetnie rozwijające się fabryki w Damaszku, Brussie i w wielu innych miastach, musiały usunąć się z targowisk krajowych, ustępując miejsca wyrobom angielskim i francuzkim. Oto jedna z głównych przyczyn upadku otomańskiego państwa.

Będzie temu lat trzydzieści pięć, sułtan Mahmud już wtedy w najwyższym stopniu dotknięty anemią, chciał sprobować wytworzyć oligarchię administracyjną z potomstwa wszystkich renegatów z jakich wówczas składała się wyłącznie administracya turecka. Dziś w Konstantynopolu, syn może zająć miejsce ojca, ale zastarzały nałóg stał się drugą naturą i dla tego otomańscy mężowie stanu, nie mogąc już następców swych kupować na targu, wyszukują jakiego biednego chłopca, który zaczynając swą służbę od zapalania fajek, dochodzi stopniowo do najwyższych urzędów.

Z takiego sposobu rekrutowania mężów stanu, wyrodziła się druga plaga, prawdziwy rak toczący państwo otomańskie, którą pozwolę sobie nazwać „poligamią administracyjną“.

W klasie beyów, którzy dotąd wszyscy prawie są muzułmanami, polygamia rzadko się zdarza i jest bardzo źle widziana. Ale nikt nie jest podobniejszym do koczownika, jak na Wschodzie urzędnik administracyjny, a Konstantynopol jest wyłącznie prawie zamieszkany przez urzędników, gdyż w państwie tureckiem "Turek“ a „urzędnik“ są to wyrazy nader blizko-znaczne.

Doszedłszy już pewnego stanowiska, dla zyskania protekcyi żenią się z córkami swych biórowych zwierzchników. Otóż to krzyżowanie się rozmaitych ras urzędniczych, nową wytwarza plagę w administracyi otomańskiej. Zwierzchnicy zmieniają się często; więc dla zyskania łaski nowego naczelnika, podwładni zaraz znów żenią się z jego córkami, co powtarza się dotąd dopokąd każdy z tych biedaków nie posiądzie czterech żon przepisanych koranem.

Cóż z tego wynika? Oto żadna z tych żon nie pracuje, a każda wymaga oddzielnego apartamentu i oddzielnej służby. Całe dnie schodzą im na oddawaniu wizyt lub obleganiu ministeryów, już to dla wyproszenia dla wspólnego małżonka awansu, już, i to najczęściej, wypłacenia zaległej pensyi. Ministrowie i wysocy dygnitarze nie mogą się opędzić tym „solicytantkom z profesyi“ cieszącym się w Turcyi zupełną bezkarnością. Raz zdarzyło się w Konstantynopolu, że zmówiwszy się podpaliły ministeryum skarbu.

W takim składzie rzeczy, wyżsi urzędnicy z łatwością wydają za mąż córki. Jest jednak pewna klasa kobiet łatwiej jeszcze znajdująca mężów, to jest odaliski które doczekały w haremie sułtana lat dwudziestu-pięciu, nie doczekawszy się tego zaszczytu, aby władzca wiernych rzucił na nie swą chustkę. Westalki te bywają bogato wyposażane, a że nie tracą prawa chodzenia do seraju padyszaha, któremu wyłącznie kobiety posługują i tym sposobem przez nie można do niego dostąpić, więc bywają poszukiwane przez najpierwszych dygnitarzy.

Jak bajeczne sumy pochłania ten świat próżniaków, trudno sobie wyobrazić; Stambuł jest to otchłań bezdenna która pochłania dochody wszystkich prowincyi, nic im nie oddając w zamian.

Z tego cośmy powiedzieli łatwo pojąć jak trudnem i niemal niemożliwem jest pod wielu względami, zreformowanie stanu społecznego, będącego żywem zaprzeczeniem wszelkich zasad społecznych. Już sam harem sułtana pochłania połowę dochodu ze wszystkich podatków; aby zapełnić deficyt, Turcya zapożycza się od całej Europy, stowarzyszenia finansowe hypotekują się na dochodach celnych i na wszelkich dochodach państwa, i tym sposobem do społeczeństwa tak już rozprzężonego, wprowadzają nowy żywioł dezorganizacyi, straszniejszy jeszcze od innych.

Dotąd administracya turecka nie była zbyt groźną, gdyż łatwo przychodziło zawierać z nią najprzeróżniejsze układy, ale stowarzyszenia finansowe władające Turcyą, korzystając ze swej bezimienności uważają się za zupełnie wolne od wszelkiej litości i odpowiedzialności, względem zaprzedanych im a całkiem nieznanych ludności. To też gnębiąc zarówno chrześcian jak i muzułmanów swą nieubłaganą surowością, dokonywują ruiny kraju wywożąc do Europy ostatek brzęczącej monety. Bankructwo państwa, ogólne powstanie i liczna emigracya—oto nieuchronne następstwa podobnego stanu rzeczy. Jakoż dziś już muzułmanie i chrześcijanie emigrują tłumami, a Egipt i Grecya zaludnia się kosztem Turcyi. Bankructwo także na dobre się rozpoczęło.

Ktokolwiek przebywał w Turcyi i poznał niedostateczność jej zasobów, ten wie że obraca się ona w zaklętem kole, z którego wyjść jej niepodobna. Gdzież się podziały owe pięć miliardów jakie Turcya wypożyczyła od lat dwudziestu? Cała sieć jej kolei żelaznych nie dochodzi 500 kilometrów—gdyby więc na nie rozliczyć dług pięciu milijardów, jeden kilometr kosztowałby około 10 milionów franków: to trochę za drogo. Daremnie także szukałby ktoś innych prac i ulepszeń dokonanych za te pieniądze; ani jeden port nie urządzony, ani jedna droga nie została zbudowaną; ale za to wybrzeża Bosforu pokryły się wspaniałemi pałacami cesarskiemi i przepysznemi willami wysokich dygnitarzy, które, przyznać trzeba, bardzo podnoszą piękność krajobrazu. Tam to szukać trzeba pięciu miliardów, a część ich odnalazłaby się w postaci renty francuzkiej lub angielskiej, gdyż wszystkie zapożyczone miliardy rozeszły się w otoczeniu sułtana który dziś jest kolosalnie bogaty, podczas gdy tak muzułmańscy jak chrześcijańscy jego poddani, zarówno umierają z głodu.

Olbrzymie prace jakich potrzebaby dokonać w Turcyi, zajęłyby z pół-wieku; z wyjątkiem wybrzeży których rozwój postępuje szybko z powodu blizkości morza ułatwiającego wywóz produktów, państwo otomańskie nietylko zacofane jest o jakie trzy wieki pod względem prac użytku publicznego, ale nadto jest to kraj całkiem prawie pozbawiony przyrodzonych dróg komunikacyjnych. Cały ten obszar ziemi obejmujący starożytne państwo Aleksandra, posiada tylko trzy rzeki żeglowne, nadzwyczaj oddalone od wielkich dróg handlowych, to jest: Dunaj, Eufrat i Nil.

Dunaj biorący swe źródło przy brzegach Francyi którego cała prawie strona jest chrześcijańską, nie cieszy się pomyślnością Nilu. W miarę oddalania się od Francyi, działalność i życie słabną na jego wybrzeżach, a gdy zapytać marynarzy dla czego wspaniały ten krajobraz jest tak ponury, każdy odpowie nieodmiennie: „Dunaj śpi.“ I rzeczywiście Dunaj śpi od czasu jak odkrycia Krzysztofa Kolumba i Vasco de Gama, przerzuciły na Atlantyk wszelkie produkta środkowej Europy. Dunaj śpi, bo nie ma co robić, oddalony od wszelkich dróg handlowych zamorskich—ale jest on w przeddniu przebudzenia, gdyż kanał Suezki wrócił mu dawną jego ważność ekonomiczną, i temu także przypisać należy obecne przesilenie nad Bosforem. *(d. n).*

SALOMEA.

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY

przez

Miss Edwards.

Przed kilku latami, mniejsza o ścisłość daty, podróżowałem, ja Harcourt Blunt, z przyjacielem moim Cowentry Turnour, i siedząc na balkonie naszego hotelu w Wenecyi otrzymałem od niego zwierzenie, iż jest szalenie zakochany.

— Upewniam cię Blunt;—mówił mój towarzysz—jest to najcudniejsza istota jaką w życiu zdarzyło mi się widzieć!

Parsknąłem śmiechem.

— Mój drogi odpowiedziałem — ileż to razy spotykałeś już istoty najpiękniejsze jakieś widział w życiu.

— Być może, ale teraz mówię to zupełnie poważnie po raz pierwszy.

— A wieleż to razy równie poważnie po raz pierwszy mówiłeś? Przypomnijże sobie córkę gospodarza hotelu w Kolonji.

— O!... ładna dziewczynka zapewne; ale nie tak wychowana abym mógł w świat ją wprowadzić.

— A piękna Amerykanka w Interlaken?

— Tak... ale...

— A śliczna *marchesa*, na balu księcia Torlonia?

— Żadna nie może się porównać z moją królewską Wenecyanką. Chodź ze mną na ulicę de la Merceria, a sam to przyznasz. Wziąwszy gondolę do placu Świętego Marka, za mały kwandransik tam będziemy.

Poszedłem za nim. Przez całą drogę o niej mówił tylko. Była żydówką: miał ją nawrócić. Ojciec jej utrzymywał sklep na Merceria, prowadził handel najkosztowniejszemi wyrobami Wschodu, a był bogaty jak Rothschild. Chciałem uczynić uwagę przyjacielowi, że może zaszkodzić swojej przyszłości; lecz cóżby znaczyły te względy w obec szczęścia całego życia. Nie pragnął bynajmniej znaczenia i nie myślał wstąpić do parlamentu. Gdyby stryj, lord Geoffrey go wydziedziczył, pozostawał mu jeszcze skromny, lecz własny i niezależny majątek. Jakiż rozsądny człowiek żądałby więcej?

Słuchałem i milczałem. Zanadto dobrze znałem towarzysza mego, aby w podobnych rzeczach do jego słów większe przywiązywać znaczenie. Był szalenie zakochanym, wszak był to jego stan normalny. Od dzieciństwa byliśmy z sobą w ścisłych stosunkach i w uniwersytecie jeszcze, wzdychał napróżno do młodej damy w cukierni za kontuarem siedzącej; nie widziałem go inaczej jak ciągle zakochanego. Podczas naszej pięciomiesięcznej podróży, trzy razy przechodził już przez wszystkie stopnie najgwałtowniejszej miłości, i sześć tygodni temu zostawiłem go w Rzymie, z sercem rozdartem, zrozpaczonem; a więc w najlepszych warunkach do rozkochania się na nowo.

Wysiedliśmy na placu Ś-go Marka. Był to czysty piękny, poranek kwietniowy. Marmury pałacu Dożów błyszczały w świetle słonecznem. Gondolierzy rozmawiali na wybrzeżu, w małe gromadki zebrani. Przekupki przebiegały z pomarańczami po pod arkadami piazetty, a spacerujący już się chłodzili lodami i palili cygaretki przed kawiarniami. Muzyka pułkowa, ściśnięta w swych mundurach, grała naprzeciw sławnej bazyliki, a cień wielkiej wieży zegaru, zdawał się drzemać na kamieniach. Przeszedłszy pod nizką arkadą na Merceria prowadzącą, zapuściliśmy się w labirynt uliczek malowniczych, pełnych świeżego chłodu, gdyż nigdy tam słońce nie

przenika, a w których turkot powozów słyszyć się nie daje, gdzie żadnego pociągowego zwierzęcia się nie widzi, gdzie każdy dom ma sklep na równi z ulicą się otwierający, jak w bazarach miast Wschodnich, i gdzie balkony domów stykają się prawie, zostawiając tylko między sobą wązki pasek niebieskiego nieba. W żadnej części ulicy trzy osoby razem przejść nie mogą. Przebijamy się więc przez tłum pstrokaty, targujący się, kupujący i poruszający się nieustannie to w tę, to w ową stronę, aż nareszcie stajemy na progu Wschodniego sklepu. Kilka słojów pełnych korzeni, kilka sztuk materyi bezładnie rzuconych na kontuar, oto wszystko co z razu widzieć się daje; lecz wewnątrz, mały sklepik mnóstwo drogich rzeczy zawiera. Skrzynie i pudełka pełne są kamieni i klejnotów Wschodnich, na półkach hafty srebrne i złote, szale Kaszemiru, muśliny Indyjskie, ciężkie Chińskie jedwabie w stosy poukładane aż pod sufit się wznosiły: wszędzie mnóstwo cacek złotych i srebrnych, filigranowej misternej roboty, rzeźb na koralu, kości słoniowej i bursztynie; wreszcie pyszne jatagany i szable Damasceńskie o rękojeściach klejnotami obsypanych. Sklepik był tak zapełniony, że zaledwo można było się przecisnąć od wchodu do kontuaru, i od tegoż do dalszych pokoi za sklepem się ciągnących.

Wchodzimy do wnętrza. Młoda kobieta siedząca za kontuarem i zajęta czytaniem, położyła książkę i zwolna powstała. Cała była w czerni ubrana. Nie jestem w stanie opisać szczegółowo kroju jej sukni, to wiem tylko, że w długie, poważne a harmonijne fałdy w około niej się układała jak draperye na posągach pierwszych mistrzów sztuki; w około rąk i szyi wązki pasek cienkiego batystu wdzięcznie odbijał. Jakkolwiek ten strój poważny był i oryginalny, zdaje mi się iż żadnej na niego nie zwróciłem uwagi, tak byłem uderzony pięknością tej co go nosiła.

Była bowiem prawdziwie piękną, i Cowentry Turnour z całym swoim entuzyazmem, o wiele niżej od rzeczywistości pozostał. Mówił on wprawdzie z zapałem o jej oczach, o tych oczach świecących i zadumanych, o ich głębokiem, łagodnem spojrzeniu, o przezroczystej bladości jej płci, o regularności posągowej i delikatności rysów; lecz niespodziewałem się znaleść w niej tę majestatyczną wspaniałość pełną skromności i nieświadomą sobie, ten wdzięk, elegancyę i szlachetność, zdradzające się w każdym jej ruchu. Mój przyjaciel zażądał widzieć bransoletkę którą dnia wczorajszego targował. Poważna, szlachetna i milcząca, położyła je przed nami na kontuarze. Turnour więc prosił o pozwolenie przypatrzenia się jej na świetle, skłoniła tylko głowę, lecz nic nie odpowiedziała. Zdawało mi się, ze jestem w przytomności jakiej młodej królowej.

Turnour stał na progu i udawał że się przypatrywał bransoletce, która się składała z podwójnego rzędu rzadkich monet złotych, przedzielanych złotemi blaszkami, brylancikami i różowym koralem wysadzonemi. Po chwili wrócił przed kontuar i zapytał czy znajduję tę bransoletkę dość piękną na upominek dla siostry, której jakąś pamiątkę z Wenecyi przywieść obiecał.

— Piękny to i oryginalny klejnocik, odpowiedziałem, lecz sądzę że pamiątka z Wenecyi tutejszego wyrobu byćby powinna; a to zdaje mi się tureckiego jest pochodzenia.

Piękna żydówka podniosła oczy. Mówiliśmy po angielsku, lecz widocznie nas rozumiała.

— *E grecco, signore*—rzekła obojętnie.

W tej chwili z przyległego pokoju wyszedł starzec, stary Schylock brodaty, o chciwem wejrzeniu i z piórem za ucho założonem.

— Salomeo, idź do siebie, idź moja córko —rzekł z żywością—ja usłużę tym panom.

Podniosła oczy, spojrzała na niego i odchodząc w milczeniu, znikła w ciemnościach przyległego pokoju.

I już nie widzieliśmy jej więcej. Czekaliśmy jeszcze dość długo, pod pozorem przepatrzenia klejnotów w wielkiej skrzyni zawartych, ale nadaremnie. Turnour zapłacił za bransoletkę i wyszliśmy wracając wązkiemi uliczkami aż do Gran'Piazza, światłem słońca oblanej.

— I cóż? — zawołał Turnour z zapałem—co myślisz o niej?

— Bardzo piękna.

— Piękniejsza niżeś się spodziewał?

— Daleko piękniejsza, to prawda... ale...

— Ale co?

— Ale im prędzej zapomnisz o niej, tem lepiej będzie dla ciebie.

Oczywiście poprzysiągł, że nigdy o niej nie zapomni. Nie chciał słuchać żadnych uwag, nie wierzył w żadne przeszkody. Że piękna Salomea nie domyślała się nawet o jego miłości i zupełnie obojętnie względem niego się zachowywała, że nic nie wiedziała ani o jego nazwisku ani o pozycyi w świecie, tego wcale za żadną nie uważał przeszkodę. Znajdując go tak dalece głuchym na głos rozsądku, postanowiłem nie mówić już więcej o tem.

A jednak, wszystko się skończyło nim jeszcze tydzień upłynął.

Pewnego poranku gdym siedział w salonie naszego hotelu, zabierając się do odpisywania na kilka listów z Anglji odebranych, wszedł Turnour i żywo zbliżył się do mnie.

— Blunt — rzekł z widocznym niepokojem —czy zechcesz jutro towarzyszyć mi do Tryestu? Nie patrz tak na mnie, domyślasz się zapewne co mnie spotyka. Byłem szalony, sądząc że ona może mnie pokochać, mnie nieznanego, cudzoziemca i chrześcijanina; naprzód wiedziałem że tak być musi, a jednak jestem w rozpaczy, chciałbym o jakie sto mil być w tej chwili!

I znowu podróżowaliśmy razem aż do Aten; tu rozstaliśmy się, Turnour wrócił do Anglji, ja zaś dalej puściłem się ku Wschodowi. Zwiedziłem najprzód Ziemię Świętą i Egipt, później przyłączyłem się do naukowej wycieczki, mającej badać brzegi Eufratu. Po roku życia na Wschodzie, przybyłem znowu do Tryestu w kwietniu, właśnie w rok po wypadkach które opowiedziałem. Zastałem mnóstwo listów oczekujących na mnie od kilku miesięcy. Między temi listami jeden był od Turnoura. Tym razem już nietylko szalenie był zakochany, lecz nawet w niecierpliwem oczekiwaniu bliskiego ślubu. List jego pełen był szalonej radości. Turnour donosił iż jest najszczęśliwszym z ludzi, a jego narzeczona najpiękniejsza i najmilsza z osób płci swojej; przyszłość miała być rajem, a przeszłość jako pasmo samych błędów mu się przedstawiała. Wyznawał, rzecz prosta, iż dotychczas nigdy jeszcze prawdziwie nie kochał i że po raz pierwszy doznaje całej potęgi tego uczucia.

A piękna Salomea?

O niej od początku aż do końca ani słowa. Zapomniał o niej jak gdyby nie istniała nigdy, a jednak zaledwie rok upływał jak Turnour opuścił Wenecyą, w najokropniejszej, nieuleczonej, jak zaręczał rozpaczy. Ale minął rok cały, a kto znał dokładnie p. Cowentry Turnour, ten wiedział dobrze iż *największa z jego wielkich miłości*, dwumiesięcznej próby nie wytrzyma.

Nazajutrz wyjechałem do Wenecyi. Doprawdy nie wiem dla czego historya Turnoura z głowy mi nie wychodziła. Przypominałem sobie mimowoli szczegóły naszej bytności w sklepiku na Merceria, a obraz pięknej żydówki prześladował mnie nieustannie. Czy zawsze była tak piękną? Czy zawsze z książką w ręku siedziała za kontuarem na zwykłem swem miejscu, wśród skrzyń z klejnotami i bogactwami Wschodu, w promieniu słońca zaledwie przenikającego w głąb mieszkania? Ulegając jakiemuś nieprzepartemu uczuciu, udałem się na Merceria, aby widzieć ją raz jeszcze. Cały ranek miałem zajęty, a więc dopiero około godziny czwartej tam stanąłem. Ulica była zapełnioną. Przechodziłem ją zwolna, na prawo i na lewo się rozglądając, ażeby znaleść ów ciemny sklepik, jednak napróżno. Sądziłem żem go ominął przez nieuwagę i wróciłem aż do początku ulicy, ale i tym razem nadaremnie. Jeszcze tedy raz ją przeszedłem w nadziei, że niedokładnie pamiętam i że sklepik dalej być musi, lecz doszedłszy prawie aż w sam koniec, zkąd kilka bocznych uliczek się rozchodziło, upewniłem się żem nigdy tak daleko nie zachodził. Oczywistem więc było, że Izraelita nie utrzymywał już sklepiku swego na Marceria i mało miałem nadziei mieszkanie jego wynaleść. Nie mogłem się dowiedzieć od jego następcy, ani rozpytać sąsiadów, gdyż wcale nie rozpoznawałem domu, ani pamiętałem nawet jakie sklepiki w sąsiedztwie się znajdowały; nie zwróciwszy wtedy najmniejszej na to uwagi; przytem i nazwisko kupca nie było mi znane. Przekonany o niepowodzeniu mych poszukiwań, zaniechałem ich zupełnie, pocieszając się tą myślą, że serce moje nie będąc kamienne, dla mego więc własnego spokoju lepszem będzie nie widzieć wcale pięknej Salomei.

A jednak w księdze przeznaczenia było zapisanem że ją ujrzę, i to zanim przejdzie dni kilka.

Rok cały męczących podróży po Wschodzie, czyniły odpoczynek koniecznym; postanowiłem poświęcić mu miesiąc jeden i przepędzić w Wenecyi, zbierając widoki miasta i okolic, a następnie wracać do kraju. A że pierwszem zadaniem rysownika jest wybranie sobie miejscowości i punktów widzenia, i że nic równego dla wygód człowieka nad wenecką gondolę dotąd nie wymyślono, postanowiłem poświęcić pierwszy tydzień swego pobytu na zwiedzanie wszystkich kanałów i kanalików królowej Adryatyku. Pływałem więc w szybkiej gondoli to w stronę Murano, to na wyspy, to znowu po za San-Pietro-Castello, notując sobie wielką ilość malowniczych miejscowości i paląc wielką ilość cygaretek.

Było to czwartego czy piątego dnia moich wycieczek; gondolier zaproponował zawieść mię na Lido. Mieliśmy dwie godziny jeszcze do zachodu słońca. Ta wielka piaskowa wydma nie więcej jak na milę odległości ukazywała się na horyzoncie. Przystałem, i w tejże chwili zmieniliśmy kierunek; każde uderzenie wiosła od Wenecyi nas oddalało.

W miarę jakeśmy się zbliżali, horyzont zdawał się podnosić po nad spokojną płaszczyzną laguny, linije jego się załamywały i powoli ukazywały się wzgórki i rozpadliny wśród brunatnych piasków, gdzieniegdzie kępy spalonej od słońca murawy, i nędzne, jakby rozczochrane krzaczki, dopełniały smutnego obrazu niegościnnej pustyni, w którą niechętnie podróżny by się zapuszczał. Mój przewodnik zdążał wprost do miejsca gdzie kilka palów starych, cokolwiek nad wodą wystających, zdawało się oznaczać miejsce do wyladowania. Gondola z trudnością przybiła do brzegu, gdyż to była godzina odpływu morza. Wysiadłem na ląd i znalazłem się między grobami.

— *Il cimiterio gindaico, signore*, odezwał się mój gondolier, podnosząc rękę do czapki.

Cmentarz izraelitów, *ghetto* umarłych! Przypomniałem sobie, żem słyszał czy czytał kiedyś, jak żydzi w Wenecyi, tak w śmierci jak i w życiu odepchnię-

ci od sąsiedztwa chrześcijan, grzebani byli od niepamiętnych czasów na tem pustem i dzikiem wybrzeżu. Pochyliłem się nad grobowym kamieniem u stóp moich leżącym, myśląc że napis jakiś obaczę, lecz był on przez mchy i słoną wodę morską zupełnie zniszczony. Szedłem więc dalej rozpatrując grobowce.

Jedne z nich były zupełnie porosłe mchami i ostem, inne głęboko w piasek się zaryły. Niektóre zaledwie jednym brzegiem nad ziemię wystawały, gdzieniegdzie nazwisko lub data, szczątki jakiej emblematycznej rzeźby, albo napisu w hebrajskim języku, dawały się dostrzegać jeszcze, lecz i to wszystko mniej więcej zniszczone lub zatarte.

Czas jakiś chodziłem zadumany pomiędzy grobami, w górę postępując i przechodząc około dwóch czy trzech kałuż stojącej wody ukrytej w nędznych trzcinach, aż znalazłem się w części środkowej, a zarazem najwyższej wybrzeża Lido, które teraz wzrok mój objąć mógł w całości. Po prawej stronie rozciągała się szeroka i spokojna laguna utworzona przez Wenecyą i wzgórza Euganeeńskie. Po lewej, błękitne fale Adryatyku z cichym szumem o brzegi się rozbijały. Starzec zbierający muszle i mięczaki na brzegu, w dali samotna gondola na lagunie, były to jedyne ślady życia na kilka mil w około.

Pomyślałem o Goethem, który w tem miejscu utworzył swoją teoryę mózgu; o Byronie, który nadto cierpiący na nogę by mógł chodzić, kazał sobie przyprowadzić konia na Lido i codzień przebiegał je w galopie, o Shelley'u, który lubił tę dziką samotność, i pisząc tu *Juliana i Madallo*, słuchał, może z tego miejsca gdzie ja stałem w tej chwili, dźwięków dzwonu szpitala obłąkanych na wyspie Ś-tego Jerzego. Potem stawiałem sobie pytania, czyli też Tycian nie opuszczał czasami swego ponurego mieszkania po tamtej stronie Wenecyi, aby ztąd studyować grę złota i purpury wśród wspaniałości zachodów słońca, na tem już Wschodniem niebie, czy Othello nie przechadzał się tu z Desdemoną; lub czy Schylock nie jest tu pochowany ze swą Leą ukochaną? I tak marząc, znalazłem się niespodzianie na drugim żydowskim cmentarzu. Ten był widocznie późniejszym i znacznie lepiej utrzymanym.

Postąpiłem naprzód kroków kilka, pochylając się aby odczytać dziwny czterowiersz włoski wyryty na kamieniu, i aby zerwać kilka niezabudek na murawie rosnących, gdym ujrzał damę siedzącą na grobowcu, o kroków kilkanaście od miejsca gdziem się znajdował. Zdawało mi się że tak dalece sam jestem, iż w pierwszej chwili uwierzyłem prawie, że mam do czynienia z jakimciś widziadłem. Ubrana była w grubą żałobę, a zwrócona ku zachodzącemu słońcu, tak że twarzy jej widzieć nie mogłem. Głowę wspierała na ręku. Grób na którym siedziała, był zupełnie świeży, ziemia w około niedawno poruszona, a płyta białego marmuru zdawało się iż nie więcej jak od tygodnia wystawiona na wiatry i słoty.

Przekonany iż mnie nie spostrzegła, zatrzymałem się chwilę aby się jej przypatrzyć. Coś w boleści i wdzięku jej postawy, w pochyleniu głowy i w fałdach jej ubrania, uwagę moją pociągało. Czy była młodą?... Wyobrażałem sobie że tak być musi; czy płakała po mężu, po narzeczonym, czy też po ojcu? Spojrzałem na grób, płyta marmurowa pokryta była hebrajskiemi napisami, z których nicbym się nie dowiedział, gdybym i podszedł bliżej.

Uczułem jednak że nie miałem prawa zostawać tu dłużej i podpatrywać jej boleść samotną. Cofnąłem się więc jak najciszej, gdy ona zwróciła głowę i spojrzała na mnie.

Była to Salomea!

Salomea, blada i jakby wycieńczona pożerającem cierpieniem, lecz piękniejsza niż kiedykolwiek jeśli to być mogło, piękna, pięknością bardziej eteryczną niż przedtem. Policzki jej były zapadłe, a jej wielkie oczy świeciły blaskiem tak żywym i głębokim, iż zdało mi się że serce moje bić przestawało, kiedym w nie spojrzał. Przez chwilę stałem bez ruchu, w części wierząc, w części się spodziewając, że w tem jej spojrzeniu było przypomnienie. Ale nie śmiejąc zatrzymać się dłużej, odszedłem. Kiedym już się oddalił tyle, że obejrzenie się za niedelikatność nie mogło być uważane, zatrzymałem się aby spojrzyć na nią. Już wróciła do dawnej pozycyi i wpatrywała się w Wenecyą i zachodzące słońce; płyta kamienna obok której siedziała mniej była nieruchoma.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Biblijoteka Warszawska. IV kwartał 1875.

(Zeszyty za Październik, Listopad i Grudzień).

Powieść Kraszewskiego „Z siedmioletniej wojny" została już w grudniowym zeszycie ukończoną. Wraz z dwiema poprzedniemi powieściami historycznemi „Hrabiną Cosel" i „Brühlem" stanowi ona niejako jedną całość, jedną trylogią opowiadań, osnutych na tle epoki Augustów saskich. W niniejszej ostatniej tego cyklu powieści autor przedstawił ostatnie lata rządów Augusta III i wszechwładnego ministra Brühla. Obiedwie te postacie ukazują się tutaj zupełnie takiemi, jak w „Brühlu," tylko znacznie podstarzałemi. W Auguście III ta sama apatya, małomówność, wstręt do trosk i do myślenia, zamiłowanie w polowaniu, operze i obrazach; w Brühlu ta sama chęć panowania, próżność, zamiłowanie zbytków, zaślepienie i płytkość polityczna. Czy to istotnie sam wierząc w potęgę Saksonji i bezsilność Fryderyka II pruskiego, czy też łudząc rozmyślnie siebie i króla, Brühl dopuszcza królowi pruskiemu napaść znienacka na Saksonïją, zabrać w niewolę całą armię saską i zająć Drezno i kraj cały. Przez grzeczność i wspaniałomyślność, zwycięzca zabrawszy archiwa i pieniądze, uciskając zawojowany kraj podatkami, ofiaruje królowi i jego ministrowi paszporta, gdzie obecność królewska była potrzebną z powodu zbliżającego się sejmu. Działo się to, jak wiemy z historyi w r. 1756. Większa część opowiadanych przez autora wypadków, z wyjątkiem przygód osobistych postaci drugorzędnych, jest ściśle historyczną. Z drugiej strony, jako kontrast dworu saskiego, Fryderyk u siebie w Berlinie i Poczdamie zarówno jak w Dreznie, został odmalowany dosadnie i po mistrzowsku, choć nie bez widocznej niechęci. Król ten zwany filozofem, przez Niemców czczony jako Wielki założyciel potęgi pruskiej i niemieckiej (pomimo, że mówił najczęściej a pisał wyłącznie po francuzku i niemieckiego języka wcale nie cierpiał), szydzi ze wszystkiego co wzniosłe i święte ufając tylko w przemoc fizyczną, chodzi w brudnem i podartem odzieniu, jada byle co, karci własnoręcznie tych którzy mu zawinili i dba tylko o wojsko i potęgę militarną. Był jednak istotnie wielkim wodzem i posiadał rozsądek praktyczny; nie dziw więc że te zalety a nawet i powyższe wady, zapewniły mu przewagę nad zniewieściałymi przeciwnikami.

W koło tych wypadków historycznych, autor wplata przygody kilku osób które brały udział w intrygach dworskich i politycznych przed wojną i w samym jej toku. Występują tu więc: pobożna królowa, dalej podstarzała już lecz płocha Brühlowa, która nawet nie waha się probować otruć Fryderyka, dalej rezydenci pruscy i trzy osoby, na których zeŝrodkowuje się romantyczny interes powieści— baronówna Pepita z dworu królowej, awanturnik szwajcarski Simonis i szlachcic polski Masłowski. Obok interesu historycznego ten drugi żywioł romansowy blednie, lecz może jest dodatkiem dla takich czytelników przeznaczonym, którzy bez tego żywiołu powieści choćby historycznej, nie rozumieją i może czytać by nie chcieli. Trzy te postacie wielkiej sympatyi w czytelniku wzbudzić nie mogą, najniewinniejszą z nich jest jeszcze pusty chłopak Masłowski, który zawsze wesoły i dowcipny, przygląda się obojętnie a nawet z zadowolnieniem „jak Niemcy czubią się między sobą", a jeżeli sam mimowoli bierze udział w knowaniach i intrygach, czyni to z miłości ku pięknej Pepicie, której rękę w końcu otrzymuje. Baronówna zato nieceluje wyrobionym charakterem: nie czując miłości dla kochającego jej Simonisa, obiecuje mu jednak rękę, w nagrodę za usługi w intrygach, potem nabiera afektu do Masłowskiego. Zamało w niej kobiecości i nie widać nuturalnego rozwoju kobiecego serca. Simonis, awanturnik bez zasad, sprzedaje się to Prusakom, to Sasom i Brühlowej, goniąc za karyerą, plącze się w niebezpieczne intrygi, a w końcu osiada na łaskawym chlebie u żony, córki cukiernika.

Mimochodem, pokazuje nam jeszcze autor smutny obrazek, z ówczesnych polskich obyczajów, gdy tak chętnie, z lekceważeniem najważniejszych spraw i obowiązków, „popuszczano pasa"; uczta u starego Masłowskiego i wystąpienie jego, choć dorywcze i krótkiemi słowy odmalowane, bardzo są charakterystyczne.

Ostatecznie trylogia powieści historycznych z czasów saskich, jest cennym nabytkiem dla naszej literatury i dodaje jeszcze jeden listek do wieńca zasługi Kraszewskiego. Znalazła ona uznanie nawet zagranicą, gdzie w ogóle mało wiedzą o naszej literaturze: przekład francuzki tych trzech powieści ma ukazać się wkrótce w „Revue des deux mondes."

P. Narbutówna ukończyła w październikowym zeszycie swój pamiętnik z pobytu w Ameryce, o którym wspominaliśmy w uprzednich sprawozdaniach, pełny barw ciemnych i pesymistycznego zapatrywania się na wszystko. Czytamy i tutaj dziwne rzeczy: tak np. autorka ubolewa nad szczupłą liczbą wojska w Stanach Zjednoczonych — istotnie armia liczy tam tylko 40 tysięcy— a najznaczniejsza część budżetu przypada na szkoły — i w tym niedostatku siły zbrojnej widzi przyczynę rozbojów i grabieży. Czy jednak liczna siła zbrojna powstrzymuje takowe — to jeszcze pytanie, choć dla autorki rzecz wydaje się niewątpliwą. Dowiadujemy się dalej, że matki z domu wychodząc, upajają dzieci dając im opium, ażeby usnęły; czytamy, że „nałóg pijaństwa jest w Ameryce tak powszechny, że mało kto mu nie ulega od najmłodszego wieku"; że w teatrzykach wyłącznie dla dzieci przeznaczonych, przedstawiają sztuki niemoralne i gorszące i wiele innych sądów ogólnych, które autorka ze zbytnią skwapliwością pospiesza wyciągać z pojedyńczych faktów, które widziała lub o których słyszała. Nawet co do przyrody i klimatu sądy autórki są bezwzględne: czytając np. to co mówi autorka na str. 28 o lecie w Ameryce kiedy „palące promienie słońca zabijają ludzi w mgnieniu oka prawie" możnaby pomyślić, że ludzie padają tam na ulicach i wypadałoby dziwić się, że wiedząc o niechybnej śmierci, wychodzą jeszcze w dzień z domu; tymczasem wiadomo, że wypadki tak zwanego „coup de soleil" są w Ameryce może częstsze niż gdzieindziej w czasie skwarnego lata, lecz trafiają się także w Europie — we Włoszech, we Francyi, a nawet w krajach północnych.

Autorka znajduje w społeczeństwie amerykańskiem jedynie pozytywny materyalizm, egoizm i bezbożność, a wszelką doskonałość i stan błogi upatruje w Europie, do której wracając, wypowiedziała jej apoteozę w kilku gorących słowach. Ostateczności stykają się, jak mówią francuzi i kto wie czy autorka, taka pesymistka w Ameryce, nie grzeszy zbytecznym optymizmem względem Europy, gdzie przecież kwitnie i szerzy się i to także, co autorka w Ameryce gani, nie mówiąc już o odrębnych europejskich właściwościach.

Sędziwy Wójcicki umieścił w zeszytach listopadowym i grudniowym, dokończenie swoich wspomnień o społeczności Warszawy w początkach naszego stulecia. Ostatnie te rozdziały poświęcone wyłącznie Warszawskiemu Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Niemało tu cennych szczegółów o prezesach tego Towarzystwa — Albertrandim, Staszycu i Niemcewiczu, o jego członkach, pracach i posiedzeniach, a choć dużo wiadomości nie nowych i znanych, znajdzie się jednak nieco nowego z osobistych wspomnień i stosunków autora zaczerpniętego. Ciekawą jest wzmianka o towarzystwach naukowych w Płocku i Lublinie, z których ostatnie powstało 1818, pierwsze zaś 1820 roku. Autor przytacza ustawę i obraz działalności tych towarzystw, o których obecnie nikt już prawie nie wie nawet z imienia. Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk przez cały czas swego żywota (od 1800 do 1830 r.), liczyło członków 371, z których umarło w tym przeciągu czasu osób 145; w ostatnim roku liczyło członków czynnych 57, przybranych 35, honorowych 35 i korespondentów 85, w liczbie osób ostatnich dwóch kategoryi wielu cudzoziemców.

Ciekawym jest przytoczony przez p. Wójcickiego dokument, zawierający w kilku wierszach, nominacyą Mickiewicza na członka korespondenta, z podpisem prezesa Niemcewicza. O przewadze w gronie Towarzystwa zwolenników starego klasycyzmu w poezyi, niechętnych Mickiewiczowi, świadczy nietylko ta okoliczność, że mianowano Mickiewicza tylko korespondentem, ale nadto i wyrazy samej nominacyi, w której powiedziano, że Towarzystwo ceni biegłość Mickiewicza „w nauce i umiejętnościach, i szczególną języka i rzeczy ojczystych znajomość“, a o działalności poetyckiej wieszcza i jego na tem polu zasługach, nie masz ani słowa.

Rzecz o szkołach i szkolnictwie polskiem przez p. W. Zawadzkiego w zeszycie grudniowym umieszczona, nie odznacza się wprawdzie nowością ani w szczegółach, ani w poglądach, zawiera jednak dużo wiadomości, zwłaszcza historycznych, mogących być zajmującemi i pożytecznemi dla nieobeznanego z przedmiotem ogółu. Odwieczny i nieco przestarzały pogląd na szkoły jezuickie, dzisiaj już przyjętym być nie może i te szkoły nie były w dawnej Polsce gorszymi niż gdzieindziej w ówczesnej Europie, a zdawkowy komunał, jakoby właśnie szkoły jezuickie były przyczyną upadku umysłowego, moralnego i nawet politycznego, w obec nowszych badań bezstronnych, wydaje się niekiedy nawet... naiwnym. Pomieszczony w tymże zeszycie artykuł „Postępy wiedzy o Słowiańszczyznie w Rosyi w latach 1860—1872,“ według czeskiego sprawozdania p. Kotlarewskiego, zawiera dużo rzeczy ciekawych. Tak np. wzmiankowane tu jest zdanie Hilferdinga, że Polacy winni są zniemczenia Kaszubów, a to w skutek swojej szlacheckiej wyłączności. Czego to już nie jest dziś winna owa szlacheckość— instytucya, nawiasem mówiąc, wystawiana często jako coś potwornego i wyjątkowego, chociaż szlachta i to nielepsza, istniała przecież i gdzieindziej: tak np. epoka szlacheckiego feudalizmu w Niemczech, dla tego tylko wystawioną jest w historyi w barwach znośnych, że większość historyków Niemiec stanowią sami Niemcy. W jakimś nowoodkrytym rękopiśmie włoskim, gdzie mowa także i o Słowianach, znajduje się następująca charakterystyka główniejszych narodów europejskich w XVI wieku: „kto odważniejszy od węgra, groźniejszy od niemca, bitniejszy od francuza, wytrwalszy od hiszpana, mędrszy od włocha i zuchowatszy od polaka?“ A niżej: węgier morduje, hiszpan rabuje, niemiec się upija, włoch zbytkuje, francuz śpiewa i gawędzi, anglik objada się, szkot pożera, polak burdy robi, czech szaleje i t. d.

W wiadomościach o wydanych poraz pierwszy rękopismach, ze Wschodu przywiezionych, czytamy ciekawe szczegóły o kwestyi brzmień nosowych słowiańskich, o rękopismach słowiańskich pisanych głagolicą z VII i VIII wieku, a więc starożytniejszych od cerkiewnego pisma czyli cyrylicy, o roli języka cerkiewno-słowiańskiego. W pierwszej kwestyi rozmaite były zdania uczonych. Wiadomo, że ze wszystkich języków słowiańskich, jeden tylko polski zachował do dziś dnia brzmienia nosowe; ztąd niektórzy uczeni jak Miklosicz i inni, zastanawiając się nad tym dziwnym objawem, mniemali że dźwięki nosowe właściwie są obce mowie słowiańskiej i do języka polskiego zaniesione zostały przez Galów czyli Celtów, od których jakoby pochodziła szlachta polska. Takiemu poglądowi sprzyjała na pozór ta okoliczność, że brzmienia nosowe polskie najwyraźniej przechowują się w mowie klas wykształconych, a w ustach ludu stopniowo i powoli się zacierają. Większość jednak uczonych uznaje dźwięki nosowe i w cerkiewnym czyli starosłowiańskim języku w postaci *jusów* (późniejsze we wschodnich dyalektach *ja*, *ju*); istotnie, nie masz podstawy zaprzeczać ich istnienia w językach słowiańskich, skoro niewątpliwie istniały one niegdyś nawet w greckim, w łacinie i innych dyalektach aryjskich. Co do języka starosłowiańskiego czyli cerkiewnego, używanego w nabożeństwie przez Słowian wschodniego kościoła, dotychczas jeszcze pozostaje wątpliwem i nierozstrzygniętem, czy ten język był tylko sztuczną mową literacką, książkową, czy też żyjącym niegdyś językiem starobulgarskim albo starosłoweńskim.

W październikowej „Kronice zagranicznej“ znajdujemy ocenę ogłoszonych niedawno w Paryżu przez p. Mouy listów Stanisława Augusta i pani Geoffrin z lat 1764 do 1777. Pani Geoffrin była to bardzo rozumna dama, z którą Poniatowski poznał się w Paryżu; była ona znacznie starszą od króla, co jednak nie przeszkadza niektórym krytykom, posądzać jej uczucia o nieco wyższy i odmienny od prostej przyjaźni charakter. Nie brak tam w tych listach intryg, sprzeczek i kwasów, zwłaszcza po powrocie p. Geoffrin z Warszawy, dokąd 1766 r. jeździła odwiedzić króla. Nie można powiedzieć, żeby wszystko w listach Poniatowskiego, zasługiwało na wiarę bezwzględną, jak to głoszą niektórzy krytycy francuzcy i miarę tego wziąść można np. z wyjątku z listu, w którym Poniatowski donosi przyjaciołce o swojej elekcyi: „w całej historyi naszej, powiada, nie ma przykładu tak spokojnej, a razem tak jednomyślnej elekcyi!“

Najgodniejszą uwagi jest rzeczą, że stara przyjaciołka nie szczędzi prawdy królowi nietylko strofując go np. o rozrzutność, ale potępiając jego zachowanie się jako króla, dziwiąc się, że buduje pałace i bawi się wśród klęsk krajowych i t. d. Chciałaby widzieć w nim Henryka IV, ale nieraz mu pisze, że takim nie jest i nie będzie. Król uniewinnia się i tłomaczy przed nią, nieco sofistycznie, co, jak wiadomo, łatwo mu przychodziło.

Ponieważ w niniejszem sprawozdaniu przytoczyliśmy charakterystykę Fryderyka II podług Kraszewskiego, pozwolimy więc sobie, dla porównania, wypisać z listu p. Geoffrin o tymże królu — świadectwo osoby spółczesnej, która znała Fryderyka: będzie to może zajmującem.

„Człowiek to rzadki w oczach moich — pisze p. Geoffrin — ale nie nazwę go ani wielkim ani cnotliwym człowiekiem. Ma rozum, ma wyższe zdolności umysłowe, ale nie ma ani uczucia w sercu, ani cnotliwych zasad w duszy. Wygrywał bitwy, ale gdzie są czyny jego naznaczone ludzkością, sprawiedliwością, wywołane pobudką szlachetną i wspaniałomyślną? Miałże kiedy przyjaciół? Uszczęśliwiałże ludy? Tego mi nie pokażesz. Co więcej skłonny do wielkiej zawiści, ma pretensyą do wielkiego rozumu, jakby jaki zarozumiały nieuk, żyje jak dziwak, z zasady chce udawać dzikiego, nie zna uroku wyborowego towarzystwa, nie wie co to przyjaźń“ i t. d. Pani Geoffrin, kobieta wyższego towarzystwa i przenikliwego rozumu, choć nie dyplomatka, znała wszystkich prawie monarchów swego czasu i o stronność, dla braku powodów, trudno ją posądzić. A jednak u nas wielu jeszcze ma Fryderyka za wielkiego i takim go nazywa, dla tego że tak się niemcom podoba.

W tejże kronice jest wzmianka o najnowszych utworach poetycznych we Francyi. Służą one muzom: i niejaki Armand Sylvestre — w guście pozytywno-materyalnym, choć pani Sand w przedmowie, którą jego poezyę opatrzyła, zapewnia że poeta, wbrew temu co sam śpiewa, jest w duszy idealistą; dalej pp. Darasse, Casalis, Andreani, Millien i Albert Delpit, którego dramat historyczny Jan Bosy (z czasów wielkiej rewolucyi) chwali kronikarz.

W „kronice“ za listopad mowa o Wiktorze Hugo z powodu wydanego przezeń „Avant l'Exil“. Mieszczą się tam rozmaite mowy poety z lat dawnych. Tamże znajdujemy wiadomości i ciekawe szczegóły o p. Girardin, zwanej „dziesiątą muzą“. Zabawnem jest wykazanie, jak pewny krytyk lwowski osądził wymienioną korespondencyę Stanisława Augusta z p. Geoffrin, nie czytając widocznie nic więcej jak treść i spis rozdziałów.

Tacy krytycy, jak wiadomo, istnieją także i u nas. Tak np. krytyk lwowski opowiada na chybił trafił, jak pani Geoffrin bawi króla plotkami paryzkiemi, chociaż nic podobnego w korespondencyi nie ma; albo widząc w spisie treści nazwisko słynnej artystki p. Clairon, recenzent bez zająknienia uczy czytelników, że pani Geoffrin zdaje królowi sprawę z paryzkich nowości teatralnych, chociaż w liście rzecz idzie o przyjeździe p. Clairon do Warszawy i t. d.

W kronice grudniowej opowiada autor rzeczy znane ale bardzo zajmujące o Hoferze, dowódzcy Tyrolczyków w czasach wojen napoleońskich i podaje wiadomości literackie. Jest tu także coś o Słowianach tureckich i poezyi bulgarskiej, która, mówiąc prawdę, w postaci odkrytych przez Werkowicza epopei, cokolwiek już znudziła czytelników Biblijoteki.

Ważniejsze z pomiędzy reszty artykułów poważnych Biblijoteki już tylko wymienimy tytuły. Tu należą np. rzecz o prawie polskiem w wieku XIII przez p. Bobrzyńskiego, Przegląd artystyczny dziejów krakowskiej szkoły sztuk pięknych przez p. Łuszczkiewicza. Obrazy ze spółczesnej literatury niemieckiej przez p. Jezierskiego, kilka szczegółów nieznanych o Łukaszu Górnickim p. Wejnerta i nowo wprowadzoną rubrykę artykułów treści przyrodniczej p. Skomorowskiego.

Z początkiem 1876 roku Biblijoteka Warszawska rozpoczyna 36 rok życia, mamy nadzieję że i nadal przodować będzie naszemu piśmiennictwu peryodycznemu. Spółzawodnictwo "Niwy" nie zaszkodziło temu poważnemu organowi; dziś kiedy „Niwa“ mało na nazwę poważnego pisma zasługuje, występuje no-

wy organ „Ateneum“. Spodziewamy się że to nowe spółzawodnictwo wypadnie również na korzyść Biblijoteki jak i jej czytelników.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Sofa mieszcząca dwa łóżka.

Szczególniej w mieście sprzęt ten nader dogodny i pożyteczny. Sypialny bowiem pokój może być zarówno bawialnym gdyż ukryte łóżka nie zdradzają jego przeznaczenia, i nikt domyślić się nie może, iż bardzo elegancka sofa dwa łóżka z materacami i poduszkami pomieszcza.

Dowcipne to urządzenie w ten sposób jest obmyślone. Dwa zwyczajne żelazne łóżka zsuwają się na rolkach jedno zachodząc szczelnie w drugie, materac zaś pierwszego za poruszeniem stosownej sprężyny, opada na dół, drugi pozostaje na miejscu i siedzenie sofy stanowi. Między niemi pozostaje jeszcze dosyć przestrzeni aby kołdry ułożyć. Boki łóżek razem nie zbyt grubą blachę tworzące zasuwają się w poduszkę, po obu stronach tapicersko wysłaną, zwierzchnia zaś jej strona ma nadto falbanę do samego dołu która z takąż falbaną przyszytą u pokrycia materaca osłaniającego, jedną całość formuje. Dwie poduszki równe wysokością bokom sofy, służą za oparcie skoro sofa jest złożona, a zastępują miejsce poduszek na usłanych łóżkach, są bowiem prawie kwadratowe.

Łóżka w dwa sposoby się rozsuwają: zależy to od wyboru kupującego: albo jedno za drugiem wzdłuż albo w szerz pokoju, stanowiące podwójne posłanie na dwóch osobnych łóżkach.

Odczepienie łączącej i zsuwającej łóżka maszyneryi, rozdziela je zupełnie, dozwalając każde postawić gdzie się podoba, lub usłać jedno łóżko, a na drugie przybory sofy ułożyć. Sofa taka pokryta rypsem w pasy kosztuje w magazynie p. Schlesingera na Marszałkowskiej ulicy rs. 100.

Nowe wydawnictwa.

Dzieła Klem. z Tańskich Hofmanowej nakładem Spółki wydawniczej Księgarskiej w 12 tomach co miesiąc mających wychodzić. Wydane dwa pierwsze tomy, pod redakcyą Narcyzy Żmichowskiej, obejmują: Przedwstępne słowo, Wiązanie Helenki, Druga książeczka Helenki, Cztery powieści większe, Rok w 62 powieściach, Powieści dla starszych dzieci, w dwóch częściach, Komedyjki, O grach ćwiczących umysł.

Cena całego dzieła rs. 15, które można składac całkowicie, albo kwartalnie lub przy odbiorze każdego tomu płacąc za niego rs. 1 kop. 25. Z przesyłką pocztową prenumerata na całe dzieło wynosi rs. 18, kwartalnie rs. 4 kop. 50.

Źródła dziejowe tom pierwszy obejmuje żywot, listy i mowy Krzysztofa Grzymułtowskiego, wojewody Poznańskiego pomiędzy rokiem 1657 a 1679. Wydanie A. Jabłonowskiego, cena rs. 1 kop. 80.

Podróż po Hiszpanji Dra Stelli Sawickiego, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie — skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Fantazya D-ra Ox. przez Julijusza Verne nakładem księgarni Stoppelle. Cena kop. 45. O wydawnictwach tych później damy obszerniejsze sprawozdanie.

Wędrowiec donosi, że w Krakowie wyszedł: **List otwarty względem założenia osady niezależnej w Oceanji,** napisany przez W. Korczaka, który publicznie przyrzeka dać na ten cel 32,857 franków i biblijotekę wartości 37,833 franki. Korczak jest to pseudonym znanego i powszechnym otoczonego szacunkiem obywatela.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani E. Wierszyk Zamki na lodzie wydrukujemy, ale zaledwie go można było odczytać, tak pismo przedstawia jeden łańcuszek w którym litery a—c—e—m—n—o—u—w, znikają zupełnie i tylko przez domysł zostają odgadnięte. Jak mozolne jest odczytanie takiego pisma, i dla Redakcyi i dla Drukarni, łatwo osądzić.

Pani Zofji B. w Temir-chan-Szurze. Odebraliśmy rs. 500 na sprawunki któremi natychmiast się zajeliśmy. Dla pośpiechu aby jedna paka którą wcześniej możemy przygotować, dla drugiej się nie zatrzymywała, wyślemy sprawunki w dwóch partyach. Obstalowane bowiem suknie dopiero w końcu tygodnia mogą być gotowe.

Pani Zofji S. w Izabelinie. Bardzo jesteśmy radzi że paczkę wysłać mogliśmy. Długa zwłoka nie z naszej winy pochodziła.

Panu Piotrowi T. w Taraszczy. Podróż do środka Ziemi Verne'go i kalendarzyk posłany. Przesyłka cała wraz z użytemi markami wyniosła rs. 1 kop. 2. Dla wiadomości panienki Stasi T. w Kierdanach podajemy, że autorów historyi polskiej jest wielu i wydań różnej obszerności bardzo wiele. Polecamy wieczory w Ojcowie Siemieńskiego rs. 1. Wieczory czwartkowe Skimborowiczowej rs. 1 kop 50. lub illustrowany skarbczyk Ilnickiej rs. 1kop.80. Poważniejsze dzieła w tym przedmiocie są. Koronowicza Schmidta, Lelewela, Szujskiego i wiele innych.

Pani Helenie S. w Żytomierzu. Żądaną książkę wypisywać musieliśmy z zagranicy i dla tego spóźniona przesyłka.

Panu Konstantemu L. w Hajssynie. Szkoła i książki wysłane.

Pani Kazimierze W. w Jegorewsku. Rs. 10 na prenumeratę roczną Tyg. Mòd odebraliśmy wraz z listem na który obszerny odpis wysłany został. Za podane w liście ceny trzewików dostać można, tylko najniższe są niepraktykowane w warszawskich magazynach. Kwiaty batystowe gałązka od kop. sr. 30. Aksamitne i atłasowe od kop. 50. Rękawiczek ceny niewłaściwe. Kapelusze zaś najtańsze od rs. 4 k. 50. Mankietów webowych pół tuzina rs. 3. Kokardy i wachlarz będą bardzo skromne lecz mogą być w tej cenie, krawatki muślinowe od rs. 1.

Pani Teresie W. w Zalesiu. Wachlarz i perspektywa teatralna już przesłane zostały. Grzebienie dopiero będą przerobione za tydzień osobno więc je wyślemy.

Pani Józefinie Z. w Olgopolu. Łokieć matelassé jedwabnego kosztuje rs. 4 k. 50 do 6, oszycie z piór od rs. 1 k. 50 do 4. Kostiumy czarne jedwabne ubierają się samą materyą, frendzlą trawiastą i takąż torsadą—lecz najmodniejsze są kostjumy których jedwabna spódnica stosownie materyą przybrana dopełnia się fartuchem i kaftanikiem cuirass z matelassé lub kaszmiru czarnego.

Pani B. W. Administratorka zakładu spółki połączonej pracy kobiet, przyjmuje korespondencye w biórze zakładu—ulica róg Jasnej i Marszałkowskiej.

Pani Klotyldzie S. w Nowosiołku. Cena łokcia frendzli wełnianej od kop. 25 do rs.1 mniej więcej dochodzi.

Pani Juljannie S. w Tasowce. Garnitur lawowy imitacya kosztować może rs. 2 do 6, z dżetu od rs. 3 do 25 kolije są mniej modne od czarnych medaljonów lub dużych krzyżyków, które są w cenie od rs.1 do rs.10 za sztukę. Śpilki takież same do włosów od rs. 1 k. 50 do rs. 7. Żądane desenie mniej więcej około 2 rs. z przesyłką wypadną.

Panu Leonowi K. w Niżnym Nowogrodzie. Wzmiankowane dywany z potrzebnemi włóczkami i deseniem kosztować będą po rs. 30 za sztukę.

Szanowne Korespondentki i Korespondenci żądający przesyłania cenników raczą przesyłać marki pocztowe.

Pani Wirginji S. na Podolu. Dawno upakowana przesyłka wysłaną została nazajutrz po odebraniu właściwego adresu to jest w dniu 16 b. m.

Pani J. S. w Cymbałówce. Ceny toalet balowych opisanych w sprawozdaniu z Nru. 2 Tyg. Mód, posłaliśmy odwrotną pocztą.

Pani Wilhelminie P. w Lisowiczu. Nasiona posłane również i mydła nie dołączyliśmy tylko do paczki żądanej gliceryny w płynie, ponieważ zarząd pocztowy, zabrania tego swemi przepisami. Co do objaśnienia o fotografiach postaramy się wkrótce zawiadomić obszernie. Kapelusz najskromniejszy, mniej od rs. 4½ kosztować nie może.

Pani J.w Rosołowcu. Żądane monogramy pomieszczone będą albo w tej albo w następnej planszy z formami i wzorami, dodającemi się do Tyg. Mód. Próbki powtórnie wysłane.

Pani Teresie H. w Zalesiu. Wszystkie sprawunki odeszły, wyjąwszy przerobionego grzebienia który dopiero w tym tygodniu ma być gotowy. Do rocznej prenumeraty Tyg. Mód brakło nam jeszcze kop. sr. 95. tak jak to posłany rachunek wskazuje.

Pani Helenie M. w Wernijówce Pismo *Maêtre de musique* kosztuje rocznie z przesyłką pocztową rs. 10 kop. 50. Redakcya nasza chętnie podejmuje się prenumeraty pism obcych, dla swoich prenumeratorów.

Pani Juljannie J. w Niemirowie. I jedna i druga przesyłka z książkami dojść już musiała. Zbiór modlitw odpustowych księdza Wnukowskiego kosztuje kop. sr. 90. Nabożeństwo 9-dniowe kop. 10. Pieniądze zaś przysłane w kwocie rs. 10, zaledwie na książki w pierwszym liście wymienione wystarczyłyby. Trzeci tom literatury Zdanowicza jeszcze nie wyszedł, jak tylko prasę opuści, natychmiast go prześlemy. Pieniądze za całe dzieło się składa.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 17 (29) Февраля 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.



N. 1. Berta chusteczkowa zdobna girlandą fijołków.



N. 2. Stanik wycięty z bawetem. Krój w dodatku Nr VIII, Fig. 35—28.

Opis do N 10.

(Dokończenie).

Rycina 3 załącza model płaszczyka odszytego z bladoróżowego kaszmiru z białą jedwabną podszewką; kokardy z wstążki różowej. Na ryc. 4 widzimy płaszczyk z kaszmiru zielonawo popielatego, na tle którego wyszyty jest ciągniony deseń sznurkiem jedwabnym. Oszycie brzegów składa się z sutej frendzli jedwabnej koloru kaszmiru, naśladującej pióra.

N. 5—6. Torebka na bieliznę nocną. Krój i deseń w dodatku Nr XIV, Figura 56—57.

Torebka na bieliznę nocną, odpowiednia do zawieszenia nad łóżkiem, odszyta jest z kolorowej materji i ozdobiona na zwierzchniej stronie haftem. Wykład torebki wykończa się oddzielnie a dolna połowa także oddzielnie: haft odrobiony jest na tle muślinowem z aplikacją cienkiego perkalu. Rycina 6 załącza w naturalnej wielkości większą połowę wykładu torebki; podług niej wykończa się aplikację perkalu, przydzierguając z jednej strony brzegi a z drugiej oszywając koronkową tasiemeczką; po wyszyciu perkal wycina się starannie. Fig. 57 załącza deseń haftu na dolną połowę torebki; Fig. 56 wskazuje całość torebki której wykład kraje się z materji i podszewki w jednym ciągu ze spodnią ścianką torebki, haft zaś naszywa się dopiero po zszyciu i wykończeniu torebki.

N. 7—14. Postument do zawieszenia ręczników.

Rycina 7 przedstawia rzeźbiony drewniany postument na którym zawieszone są dwa ręczniki w deseń adamaszkowy i w pasy a trzeci z rubberu (materjał nie gładki przerabiany w pentelki). Ten ostatni ozdobiony jest wyszyciem jednakowem na obie strony; ten rodzaj roboty objaśnialiśmy w przeszłym N-rze przy ryc. 3—6, gdzie szczegółowo opisany był ścieg w kwadraciki; podwójne krzyżyki objaśnione były już w przeszłym roku w N-rze 49; w dzisiejszym N-rze uczymy wyszywania ściegu który tworzy zwierzchu krzyżyki a od spodu kwadraciki. Ścieg taki najodpowiedniejszy jest na wyszycie jednakowe na obie strony. Rycina 9 przedstawia prawą i lewą stronę deseniu wyszytego niebieską i ponsową bawełną, z niej widać że krzyżyki na spodniej stronie formują kwadraty, a kwadraty zwierzchu wyszyte tworzą krzyżyki pod spodem. Rycina 8 załącza inny wzór wyszycia tym samym ściegiem; na rycinie 10—12 objaśniamy o ile możności najdokładniej wyszycie ściegu; rycina 12 wskazuje prosty i skośny kierunek ściegów a dodane litery i krzyżyki objaśniają przeprowadzanie nitek. I tak: litera *a* wskazuje jak na ściegi w prostym rzędzie przeprowadzić nitkę ku lewej stronie; *b* uczy wyszycia w skośnym kierunku; *c* wskazuje jak tworzyć rzucik. Dodamy tylko iż i w tym rodzaju wyszycia potrzeba dla tworzenia deseniu nieraz zrobić ścieg podwójny aby nie urywać nitki. Frendzla z podwójnych nitek robi się podług ryciny 13 i 14; monogram wyszyty na ręczniku dobrać można między literami podanemi na arkuszu z krojami.

N. 15. Opisany w przeszłym N-rze.

N. 16—17. Dwie lambrekiny.

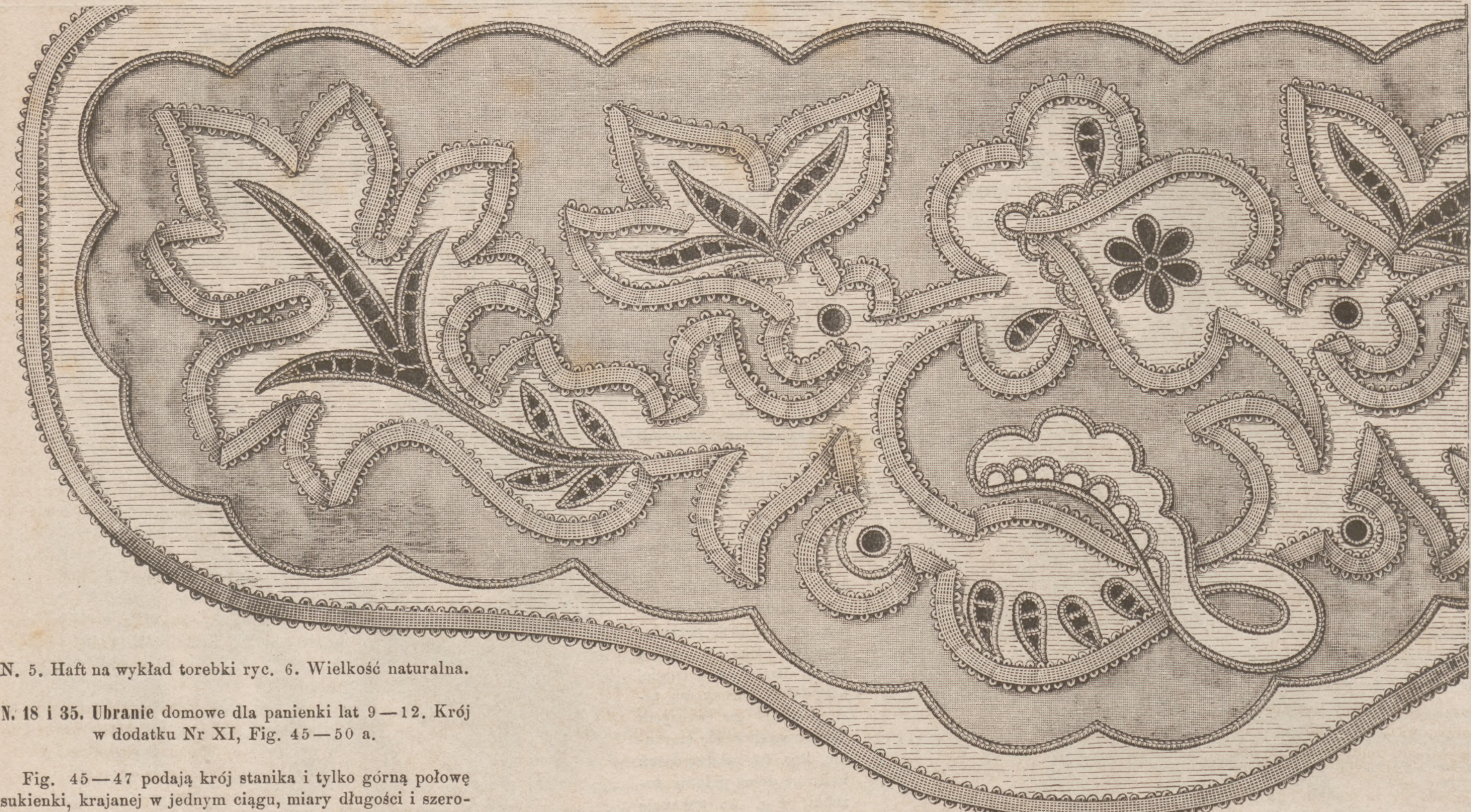
Haft jedwabiami kolorowemi na suknie z pokładaniem aksamitu lub materji.



N. 3. Płaszczyk do teatru, na koncert i t. p. Patrz. ryc. 4.



N. 4. Płaszczyk do teatru, na koncert i t. p. Patrz ryc. 3. Krój w dodatku Nr VII, Fig. 30—34-a.

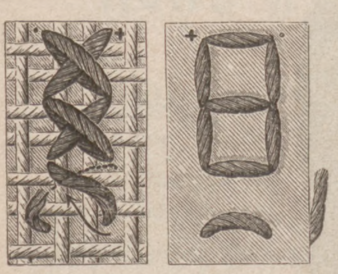


N. 5. Haft na wykład torebki ryc. 6. Wielkość naturalna.

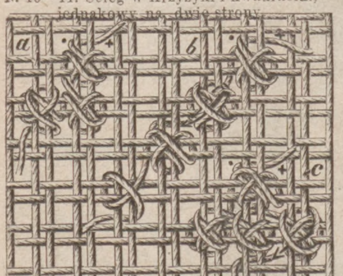
N. 18 i 35. Ubranie domowe dla panienki lat 9—12. Krój w dodatku Nr XI, Fig. 45—50 a.

Fig. 45—47 podają krój stanika i tylko górną połowę sukienki, krajanej w jednym ciągu, miary długości i szerokości podane są tak na większej formie jak i na zmniejszonym formacie kroju.

Fałda idąca na plecach załamana jest płasko w całej długości; materjał wystający przy boczku i plecach (Figura 46—46) składa się w kontrafałdę idącą wewnątrz; fałdy te wszywają się w pasek do którego przyszyte tasiemki związane są z przodu. Sukienka odszyta z popielatego djagonalu, załączona na ryc. 18 i 35, poddana jest podszewką. Wykłady na rękawach (Fig. 49), kołnierz (Fig. 50) i kieszonki zaokrąglone u dołu, $8 \frac{1}{2}$ cent. długie a $12 \frac{1}{2}$ szerokie, z wykładami 4 cent. szerokiemi są z ponsowego kaszmiru lekko podwatowanego i przepikowanego w kratkę; brzegi zakończa gruba popielata wypustka ze sznureczkiem. Pasek i plisa na sukni jest także z ponsowego kaszmiru na sztywnym muślinie, z popielatą wypustką. Guziki ponsowe.



N. 10—11. Ścieg w Krzyżyki i kwadraciki, jednakowy na dwie strony.



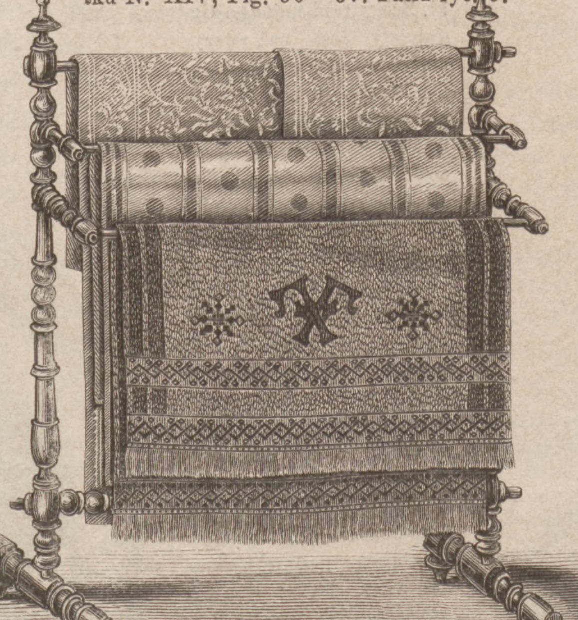
N. 12. Ścieg w krzyżyki i kwadraciki. *a.* Zaczęcie proste. *b.* rząd skośny *c.* razem zestawione ściegi.

N. 19—20. Sukieneczka i vêtement dla dziewczynki lat 4—7. Krój w dodatku Nr IV, Fig. 14—23.

Spódniczka 42 cent. długa, 344 obwodu mająca, poddana sztywnym muślinem złożona jest z boków przodu w kontrafałdę a dalej w fałdy schodzące się w środku tylnego bryta. Fałdy te po 10 cent. głębokie przefastrzygowane w górze i u dołu są płasko załamane i zaprasowane. Przód zdobią trzy plisy naszyte w ząb $3 \frac{1}{2}$ cent. szerokie zakończone przystębnowanemi wypustkami i koronką. Po sfałdowauiu spódniczka zszywa się z wyciętym staniczkiem a szew podszywa tasiemką.



N. 6. Torebka, na bieliznę nocną. Forma i deseń w dodatku N. XIV, Fig. 56—57. Patrz ryc. 5.

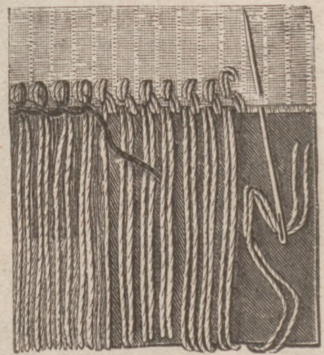


N. 7. Postument do zawieszania ręczników.

Krój vêtement podaje fig. 18—23 a całość przedstawia ryc. 19; boki z plecami zszywają się od l—m, dalej zaś od m—n pozostawia się rozporki do wszycia następnie końcy szarf ułożonych z wstążki repsowej, 18 cent. szerokiej a 180 długiej. Od n—o plecy podsunięte są pod boki na 3 cent. i przyszyte od spodu. Koronka 6 i 3 cent. szeroka i guziki oksydowane dopełniają przybrania.

N. 21—22 i 31. Suknia z vêtement i kamasze dla dziewczynki lat 4—7. Krój w dodatku Nr V, Fig. 24, krój kamasza Nr XIII, Fig. 55.

Rycina 21 i 31 podają przód i plecy sukienki odszytej z białego kaszmiru na podszewce z szyrtyngu a ryc. 22 załącza w naturalnej wielkości wzór przybrania składającego się z ząbków haftowanych, wstążki przerabianej w pasy, jedwabnego sutaszu i torsadki.



N. 13. Frendzla do ryc. 7 strona zwierzchnia.

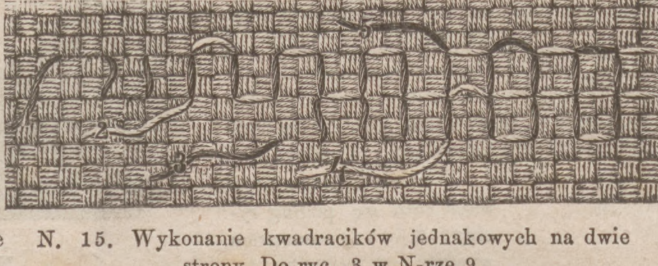


N. 14. Frendzla do ryc. 7 strona spodnia.

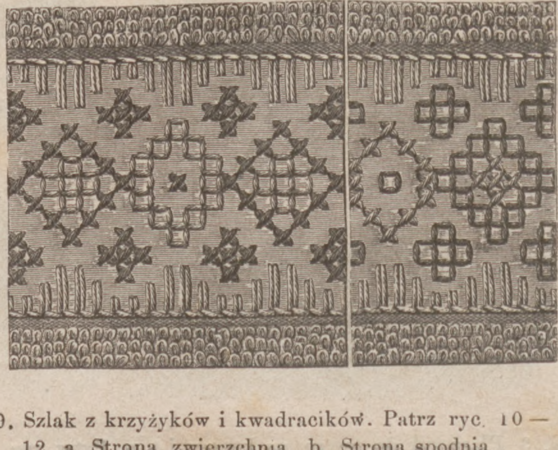
Forma vêtement, które przedłużne odpowiednio stanowić może sukieneczkę, dopasowywa się podług fig. 18—20 z tą tylko różnicą że długie plecy i boczki nie są krajane w jednym ciągu lecz dopełnione oddzielną w trzy kontrafałdy złożoną częścią. Vêtement liczy z przodu 52, z tyłu 55 cent. długości, plecy liczą z brzegów po 14 w środku 23 cent. długości a dopełniające je fałdowanie jest 32 cent. długie a 105



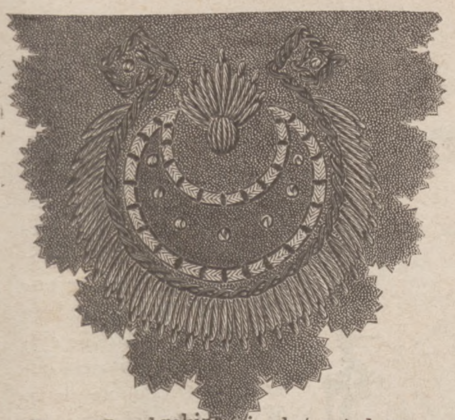
N. 8. Szlak w krzyżyki i kwadraciki jednakowy na dwie strony. Patrz ryc. 10—12.



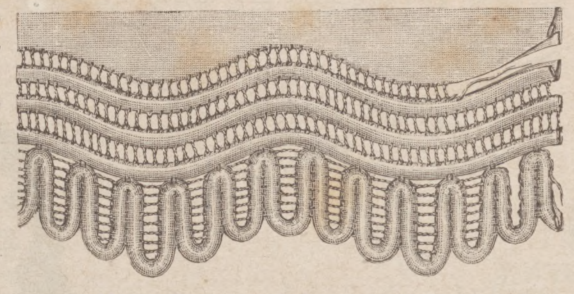
N. 15. Wykonanie kwadracików jednakowych na dwie strony. Do ryc. 3 w N-rze 9.



N. 9. Szlak z krzyżyków i kwadracików. Patrz ryc. 10—12. a. Strona zwierzchnia. b. Strona spodnia.

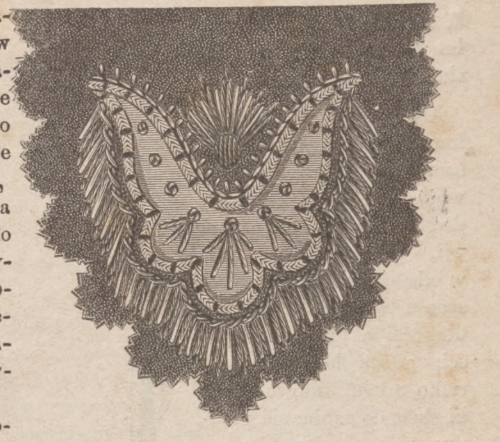


N. 16. Lambrekin. Ścieg luźny jedwabiem kolorowym.



N. 27. Zakończenie brzeżne do ryc. 25 i 26.

szerokie. Wyszycie z sutaszu zdobiące plecy widaćna ryc. 31; chusteczkowe przybranie tworzące z przodu jakby krótki kaftaniczek a z tyłu ścięte w ząb dopasowywa się podług fig. 24. Szarfa z białego jedwabnego repsu liczy 16 cent. szerokości a 150 długości. Kapelusik biały kaszmirowy przybrany riuszą z siepanej materji i wstążką. Białe flanelowe kamaszki podszyte barchanem krają się podług fig. 55, na której górny brzeg zwierzchniej części kamasza i forma wyłożenia odznaczona jest linją prostą.



N. 17. Lambrekina. Haft jedwabiem, z podłożeniem materji.

N. 23. 24. Kołnierzyk i dwojaki mankiet. Krój w dodatku Nr IX, Fig. 39—40.

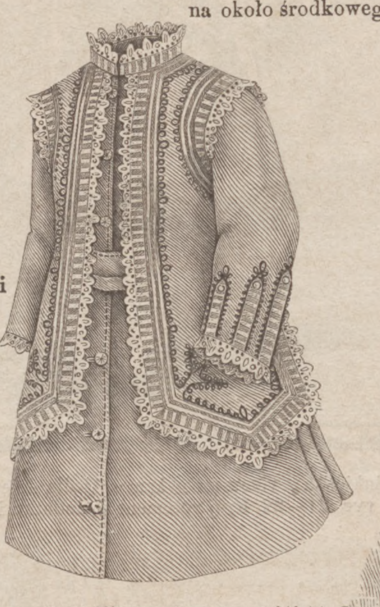
Gładki, płócienny kołnierzyk zakończony jest rzędem stębnówki; rogi nie są przy wyłożeniu zaprasowane, tylko lekko odwinięte. Mankiet składa się ze środkowego paska 28 cent. długiego, 6 $^1/_2$ szerokiego, podszytego grubszem płótnem, do którego



N. 18. Ubranie domowe dla panienki lat 9—12. Krój w dodatku Nr XI, Fig. 45—50. Patrz ryc. 35.



N. 19. Vêtement dla dziewczynki lat 4—6. Do sukienki ryc. 20. Krój w dodatku N. IV, Fig. 18—23.



N. 21. Vêtement dla dziewczynki lat 4—7. do sukienki ryc. 31. Patrz także ryc. 21. Krój w dodatku Nr V Fig. 24.



N. 20. Sukienka do vêtement ryc. 19 dla małej dziewczynki Krój w dodatku Nr IV, Fig. 14—17.



N. 26. Rękawek z mankietem wyciętym w zęby, do ryc. 25. Krój w dodatku Nr III, Fig. 12—13.



N. 24. Dwojaki mankiet do kołnierzyka ryc. 23. Krój w dodatku Nr IX Fig. 40.

z jednej strony wstębnowywa się zaokrągloną część mankieta, a z drugiej część ściętą prosto (Fig. 40). Dziurki obrabia się w pasku środkowym.



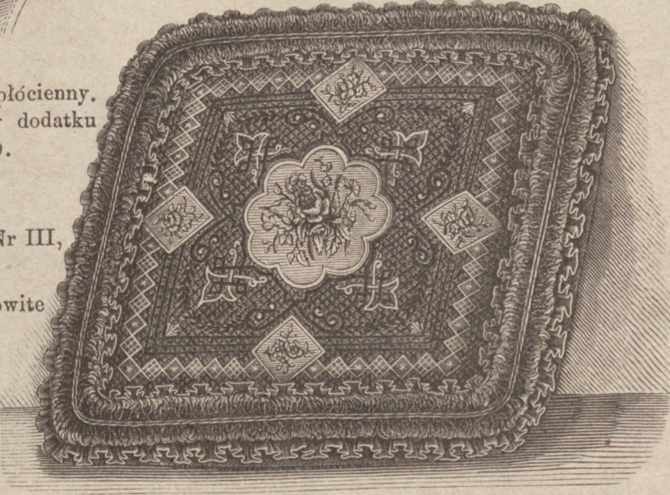
N. 23. Kołnierzyk płócienny. Patrz. ryc. 24. Krój w dodatku Nr IX Fig. 39.



N. 25. Kołnierzyk wycięty w zęby. Patrz ryc. 26—27. Krój w dodatku Nr III; Figura 11.

N. 25—27. Kołnierzyk i rękawki. Krój w dodatku Nr III, Fig. 11—13.

Kołnierzyk i mankiet są z cienkiego płótna; pracowite lecz ładne i praktyczne zakończenie brzegów przedstawia ryc. 27. Podług załączonego powyżej kroju potrzeba kołnierzyk i mankiet wykrajać ze sztywnego papieru, następnie przyfastrygowywa się na niem runiki zwijane ze skosów płótna jak na ryc. 27, z której widać dokładnie krateczkę łączącą paski. Szmizetka przestębnowana z przodu w zakładki odszyta jest z perkalu a rękawek przy mankiecie dodany z muślinu.



N. 28. Poduszka do kanapy. Haft na matelassé. Patrz ryc. 29 i Fig. 29 w dodatku.

N. 28—29. Poduszka do kanapy. Haft na matelasse Deseń w dodatku Fig. 29.

Haft na matelasse który opisywaliśmy już w Nr 7, na dzisiejszym wzorze ożywiony jest przez aplikację ponsowego atłasu żywo odbijającą od czarnego tła poduszki. Oprócz środkowego medaljonu i czterech kwadratów zdobnych aplikacją kwiatów z kretonu, dane są także z ponsowego atłasu małe kwadraciki, tworzące szlaczek na około brzegów wyszyte ponsowym i popielatym jedwabiem, a przytwierdzone sutaszem złotym, przeszywanym czarnym jedwabiem jak to wskazuje rycina 29. Arabeski na około środkowego medaljonu wyszyte podług figury 29 w dodatku; riusza z wstążki fałdowanej i siepanej materji zakończa poduszkę.

N. 30. Oszycie do bielizny.

N. 32. Suknia z wyciętym staniczkiem dla małej dziewczynki.

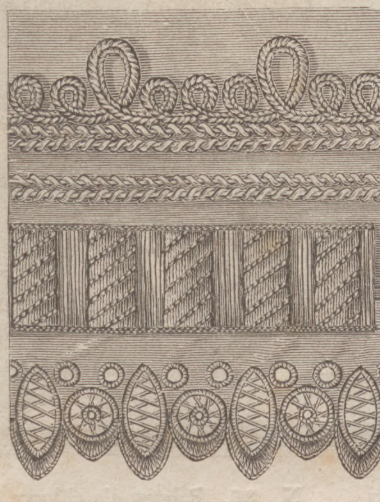
Wykończona z jasnego wełnianego materjału przybrana falbankami wstawką i koroneczką; szarfa z materji koloru sukni.

N. 33 Sukienka ze staniczkiem z baskiną i tuniką dla dziewczynki lat 5—8. Krój w dodatku Nr XII, Fig. 51—54.

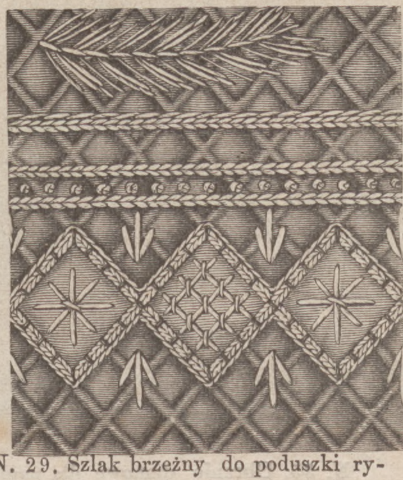
Staniczek z baskiną zapinany z przodu naszyty kilka razy wąziutką plecioneczką która stanowi również zakończenie tuniczki złożonej ze ściętego i zaokrąglonego przedniego bryta i prostego tylnego; spódniczka ozdobiona plisowaniem 7 cent. i falbanką marszczoną 14 cent. szeroką.

N. 34. Suknia z vêtement. Krój jak do ryc. 3 i 4 w Nr 2.

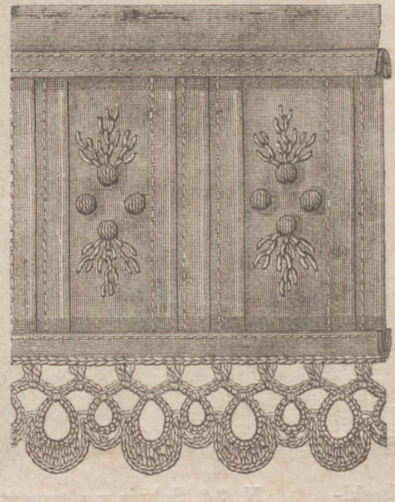
Model ten przedstawia ciągle utrzymujące się w modzie połączenie materji wełnianej z jedwabną tego samego koloru. Materja użyta jest na rękawy, szarfę i plisy zdobiące suknię odszyte na sztywnym muślinie z wypustkami z brzegów, liczące 4, 4 $^1/_2$ i 11 cent. szerokości. Pliski 4 cent. szerokie zdobiące stanik nie są przyczepione na wierzchu lecz wszyte w vêtement a materyał wycina się w tych miejscach. Vêtement lekko podpięte z tyłu zapina się pod szarfą, a jedwabny sznur z kwastami naśladuje sznurowanie. Kieszonki i wykłady na rękawach są również zakończone kwastami.



N. 22. Przybranie do sukienki ryc. 21 i 31.



N. 29. Szlak brzeżny do poduszki rycina 28.



N. 30. Oszycie do bielizny.

N. 26. Paletot dla chłopca lat 9—11. Krój w dodatku N. X, Fig. 41—44-a.

Odszyty z popielatego korciku ma wypustki, kieszonki, wykłady na rękawach i ranwerzy z przodu dodane z popielatej materji, przestębnowywanej w odstępach $^3/_4$ cent. Kieszonki liczą po 13 $^1/_2$ cent. długości a 12 $^1/_2$ szerokości; górna kieszonka jest tyiko 8 cent. długa. Guziki służą do zapinania przodu; w pasie przewiązany sznur jedwabny, który utrzymują dwie patki po 6 cent. długie przyszyty na szwach bocznych.

N. 27. Ubranie dla dziecka.

Sukieneczka odszyta z materjału wełnianego w kratę popielatą z niebieskiem, marynarski kołnierz, wykłady na rękawach i szarfy są z niebieskiego kaszmiru. Guziczki stalowe.

Pączki.

Żółtek 20 (uwiercić na pianę aż zgęsną), $^1/_2$ kwarty mleka, kwaterkę drożdży, $^1/_4$ funta masła, 4 łuty cukru, 2 łuty migdałów gorzkich zsiekanych miałko, mąki pięknej funtów 3.

Do robienia pączków bierze się w ten sposób: Mąkę wsypać w rondel, wlać mleko, drożdże żółtka ubite zmieszać dobrze razem a następnie masło ztablerowane, to jest przygotowane w ten sposób: powinno się sklarować dobrze i wystudzić mieszając ciągle z powyższą ilością cukru aby się ubiło na pianę. Wyrobiwszy dobrze to ciasto aż od warząchy odstanie, wyłożyć od razu na stolnicę i robić pączki, a po wyrośnięciu smarzyć w wolno rozgrzanym smalcu a będą jeszcze smaczniejsze jeśli w połowie doda się masła sklarowanego. Mąki niebrać od razu wszystkiej ale wybijając dosypywać aby ciasto było wolne aby tylko można go było roztoczyć na stolnicy. Ciasto nie powinno rosnąć aż dopiero po zrobieniu pączków. Włożywszy pączki na smalec zestawić z ognia aby pierwej trochę w smalcu wolno podrosły i dopiero smażyć. Mleko wszystko jedno czy letnie czy zimne się bierze. Na stolnicę tyle tylko mąki podsypywać aby była sucha.



N. 31. Sukienka z vêtement i kamaszki dla dziewczynki lat 4—7. Patrz ryc 21—22. Krój vêtement w dodatku Nr V, Fig. 24.

N. 32. Sukienka z wyciętym stanikiem. Krój kamasza Nr XIII, Fig. 35.



N. 33. Sukienka ze stanikiem z baskiną i tuniką dla dziewczynki lat 5—8. Krój stanika w dodatku Nr XII, 51—54.

N. 34. Suknia z vêtement Krój jak do ryc. 3—4 w N-rze 2.

N. 35. Ubranie domowe dla panienki lat 9—11. Patrz ryc. 18. Krój w dodatku Nr XI, Fig. 45—50-a.

N. 36. Paletot dla chłopca lat 9—11. Krój w dodatku Nr X, Fig. 41—44-a.

N. 37. Ubranie dla dziecka.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1876 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 9 i 10.

N. I. Suknia princesse jako ubranie domowe lub neglizowe. Ryc. 33 i 34 w N-rze 9.

Fig. 1. Przód (A, E, F, G)
Fig. 2. Boczek (A, B, C, D, ., 1 i X 1—.2)
Fig. 3. Połowa pleców (B, C, D, E, F, X 2 i . 3—X 3)
Fig. 4. Rękaw (G, H, I, K)
Fig. 1-a.—4-a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—4.



N. II. Stanik kaftanikowy do ryc. 27—28 w N. 9.
Miara objętości przez połowę 48 cent. w gorsie, 35 w pasie.

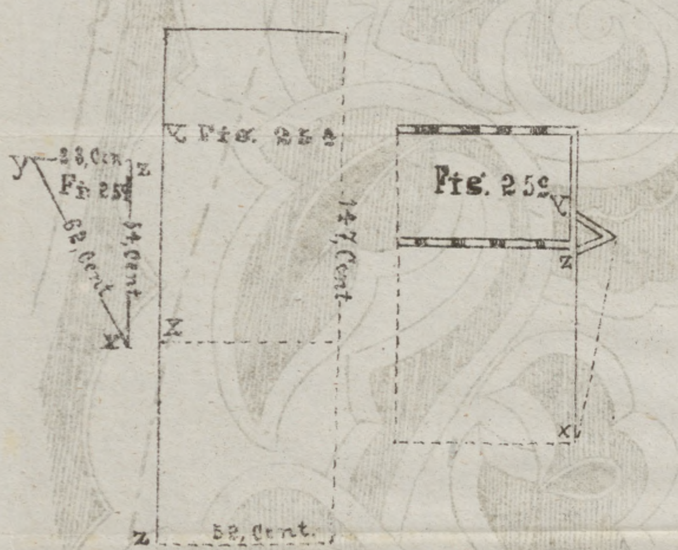
Fig. 5. Przód kaftanikowy (L, M, R, S, U)
Fig. 6. Boczek przedni (L, M, N, O, :, *)
Fig. 7. Boczek od pleców (N, O, P, Q)
Fig. 8. Plecy (P, Q, R, S, T)
Fig. 9. Połowa szalowego kołnierzyka (T, U)
Fig. 10. Część kamizelkowa (N, R, S, :, * i założenie formy

N. III. Kołnierzyk i rękawki. Rycina 25—27 w N 10.

Fig. 11. Połowa kołnierzyka
Fig. 12. Połowa mankieta (V, W)
Fig. 13. Połowa rękawa (V, W)

N. IV. Wycięty stanik i paletotowe vêtement dla dziewczynki lat 4—7. Ryc. 19—20 w N-rze 10.

Fig. 14. Połowa przodu stanika (a, b, e, f, g)
Fig. 15. Boczek (a, b, c, d)
Fig. 16. Plecy (c, d, e, f)
Fig. 17. Rękaw (g. h)
Fig. 18. Przód vêtement (i, k, p, q, r, t,
Fig. 19. Boczek (i, k, l, m, n, o, s, .)
Fig. 20. Plecy (l, m, n, o. p, q, .)
Fig. 21. Patka od kieszeni (r, s)
Fig. 22. Rękaw (t, u, v, w, *)
Fig. 23. Mankiet (+, *)



N. V. Vetement dla małej dziewczynki. Rycina 21—22 i 31 w N. 10.
Podstawę kroju stanowią fig. 18—22.

Fig. 24. Część kaftanikowa (*)

N. VI. Mały format kroju poszewki na kliniastą poduszkę rycina 24 w N rze 9.

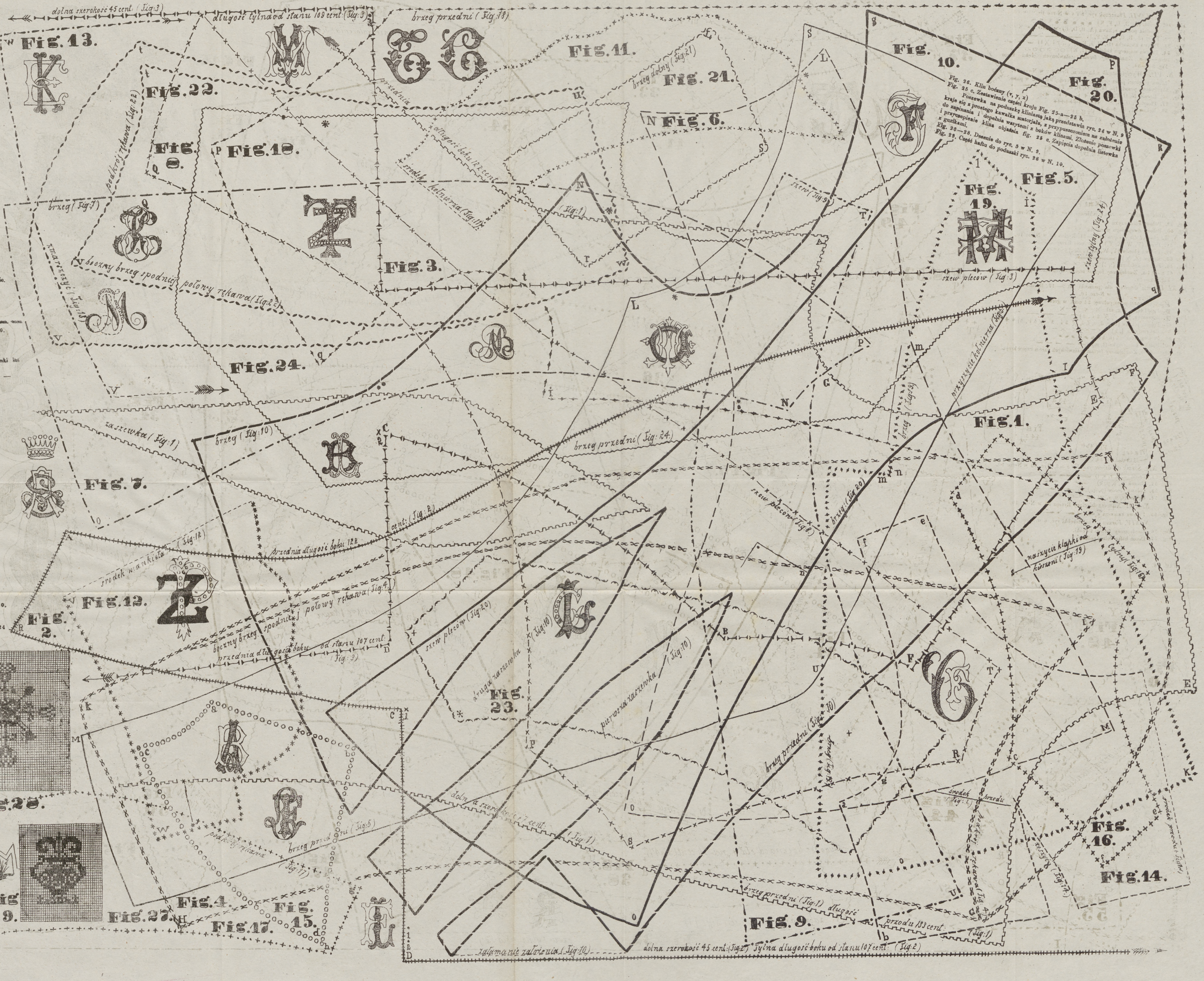
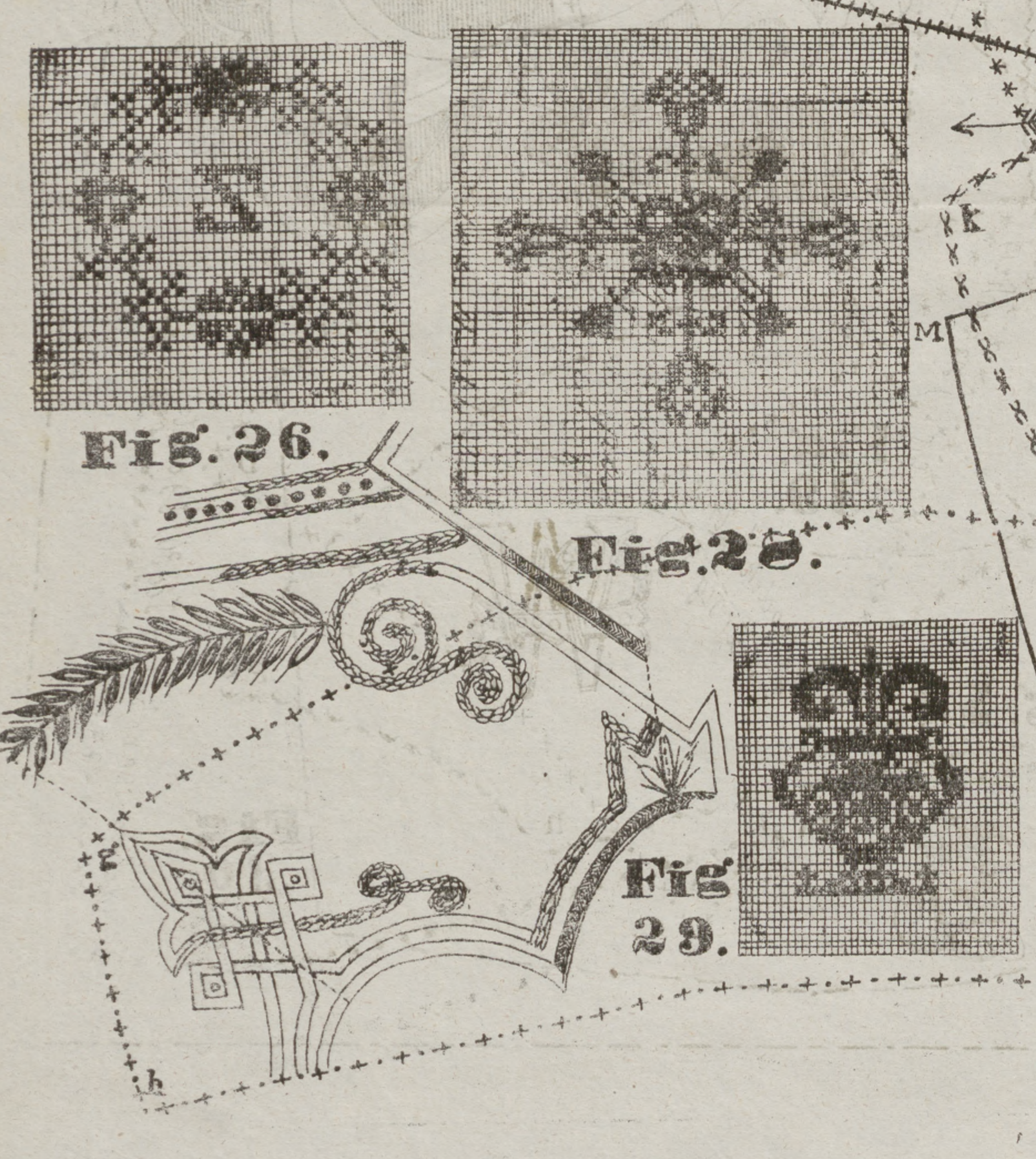


Fig. 26. Klin boczny (v, y, x)
Fig. 25 c. Zestawienie części kroju Fig. 25-a—25 b.
Poszewka na poduszkę kliniastą jaką przedstawia ryc. 24 w N. 9 kraje się z prostego kawałka materjału, z przypuszczeniem na założenie do zapinania i dopełnia wszytemi z boków klinami. Złożenie poszewki i przyczepienie klina objaśnia fig. 25 c. Zapięcia dopełnia listewka z guzikami.
Fig. 20—28. Desenie do ryc. 5 w N. 9.
Fig. 29. Część haftu do poduszki ryc. 28 w N. 10.



N. VII. Płaszczyk ryc. 3 i 4 w N-rze 10.

Fig. 30. Przód (A, B, C, F, K)
Fig. 31. Spodnia połowa rękawa (A, B, D, E) •×•×•×•
Fig. 32. Plecy (A, B, C, D, E, F, I)
Fig. 33. Połowa kapturka (G, H, I, K, :, *, ., 1 i X1)
Fig. 34. Połowa stojącego kołnierza (I, K) oooooo
Fig. 30-a—34-a. Zmniejszony format zestawionych części kroju Fig. 30—34.

N. VIII. Wycięty stanik z bawetem. Rycina 2 w N-rze 10.

Miara objętości przez połowę. 45 w gorsie, 30 cent: w pasie.

Fig. 35. Połowa przodu (L, M, N, O, R, S, T)
Fig. 36. Boczek N, O, P, Q)
Fig. 37. Plecy (P, Q, R, S) ++++++++++++
Fig. 38. Rękaw (T, U) + + +

N. IX. Kołnierzyk z dwojakim mankietem. Ryc. 23—24 w N-rze 10.

Fig. 39. Połowa kołnierzyka * * * * *
Fig. 40. Połowa dwojakiego mankieta

N. X. Paletot dla chłopca lat 9—11. Rycina 36 w N-rze 10.

Fig. 41. Przód (V, W, X, Y,) i założenie formy
Fig. 42. Połowa pleców (V, W, X, Y, Z, :)
Fig. 43. Rękaw (Z. X)
Fig. 44. Połowa kołnierza (:, *)
Fig. 41 a—44-a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 41—44.

N. XI. Ubranie domowe dla panienki lat 9—12. Rycina 18 i 35 w N-rze 10.

Miara objętości przez połowę: 34 cent. w gorsie.

Fig. 45. Przód (s, e, f, g, m) –×–×–×–×–
Fig. 46. Boczek (a, b, e, d, X 2 i . 2)
Fig. 47. Połowa pleców (b, c, d, e, f, l, X 3 i . 3—X 5 i . 5) •+•+•
Fig. 48. Rękaw (g, h, i, k) –×–×–×–×–
Fig. 49. Połowa mankieta (h, k)
Fig. 50. Połowa kołnierzyka (l, m) — — — — —
Fig. 45-a—50-a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 45—50.

N. XII. Stanik dla dziewczynki lat 5—8. Ryc. 33 w N-rze 10.

Fig. 51. Przód (u, o, r, s, t)
Fig. 52. Boczek (u, o, p, q)
Fig. 53. Połowa pleców (p, q, r, s)
Fig. 54. Rękaw (t, u, v, w)

N. XIII. Kamasz dziecinny Rycina 31 w N-rze 10.

Fig. 55. Połowa kamasza

N. XIV. Forma i deseń torebki ryc. 6 w N-rze 10.

Fig. 56. Zmniejszony format torebki.
Fig. 57. Deseń haftu dolnej połowy.

